Historia lubi się powtarzać

Rozmowa z prof. Anną M. Cienciałą (1929-2014) – historykiem dyplomacji II Rzeczypospolitej z University of Kansas, współredaktorem książki *Katyń: A Crime Without Punishment*.

*



Prof. Anna Cienciała, fot. arch. autorki

Aleksandra Ziółkowska-Boehm:

Jest Pani cenionym historykiem, specjalistą od historii dyplomacji okresu 1914-45. Ma Pani tytuły naukowe – z Liverpool University w Anglii, McGill University w Kanadzie i doktorat z Indiana University, Bloomington, IN., w Stanach Zjednoczonych. Prowadziła Pani wykłady na uniwersytetach w Ottawie, Toronto i w Lawrence, Kansas, gdzie osiadła Pani w 1965 roku wiążąc sie z Uniwersytetem Kansas. W 2007 roku była Pani wraz z innymi członkami zarządu Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce nagrodzona Krzyżem Zasługi za naukową współpracę z Polską. Jak dalece dla naukowca ważny jest ośrodek naukowy, z którym jest związany?

Anna Cienciała:

Najpierw chciałabym dodać garść wiadomości z moich studiów szkolnych. W Polsce ukończyłam pierwsze trzy klasy szkoły podstawowej. Później uczyłam się pół roku w szkole francuskiej we Francji, a głowne wykształcenie szkolne zdobyłam w Anglii. Wobec powyższego, najlepiej władam językiem angielskim. Znam też dobrze język francuski, a na tyle języki rosyjski i niemiecki, aby się nimi w lekturze swobodnie posługiwać.

Jeśli chodzi o rolę ośrodka naukowego to w moim przypadku, wobec braku na miejscu specjalistów z mojej dziedziny, najważniejsza jest dobrze wyposażona biblioteka, kontakt majlowy z innymi naukowcami oraz łatwy dostęp do źródeł w Internecie.

Urodziła się Pani w 1929 roku, w – jak Pani podkreśla – Wolnym Mieście Gdańsku. Jest Pani autorką szeregu prac na ten temat, m.in. rozdziału p.t. *The Battle of Danzig and the Polish Corridor at the Paris Peace Conference of 1919*. Uniwersytet Gdański w 2000 roku wydał księgę pamiątkową zredagowaną przez Marka Andrzejewskiego p.t. „Gdańsk – Gdynia – Europa – Stany Zjednoczone w XIX i XX w.” zadedykowaną Pani. Jak dalece Gdańsk ze swoją historią jest dla Pani szczególnym miastem, nie tylko miastem urodzenia?

Wolne Miasto Gdańsk było, jak słusznie mówił Piłsudski, barometrem stosunków polsko-niemieckich. Ale WMG było przede wszystkim symbolem rewizjonizmu niemieckiego przeciwko Traktatowi Wersalskiemu z 1919 roku, a więc, przeciwko warunkom pokoju podpisanych przez Niemieców ze zwycieską koalicją zachodnią, w tym też z Polską.

Sympatie polityków, jak też opinii brytyjskiej oraz amerykańskiej, a po upływie paru lat rownież francuskiej, były jednak po stronie

Niemiec. Tu były korzenie zachodniej polityki ugody wobec Berlina na długo przed Hitlerem. A zarazem, przed dojściem Hitlera do władzy w 1933 roku, „demokratyczne" państwo Niemckie – współpracujące w sprawach wojskowych ściśle z ZSRR – dążyło nie tylko do powrotu WMG oraz Pomorza i polskiego Śląska do Niemiec, lecz do zdominowania Polski. Hitler natomiast był gotów na czasowy kompromis z Warszawą, tj. na powrót Gdańska do Niemiec z zachowaniem praw polskich oraz eksterytorialną komunikacją Niemiec z Prusami Wschodnimi przez Pomorze. To były jednak warunki dla Polski nie do przyjęcia ponieważ równałyby się z dominacją niemiecką. Niestety, historycy zachodni wciąż nie rozumieją sedna sprawy. Prawią o pogwałceniu zasady samoostanowienia etnograficznego na Pomorzu i na Górnym Śląsku. Nie wiedzą, lub nie chcą wiedzieć, że nawet przed 1918 rokiem większość ludności Pomorza mówiła po polsku (choć nad samym morzem głównie po kaszubsku), podczas gdy większość ludności na wschodnim Śląsku mówiła albo po polsku, albo gwarą śląską. Tymczasem, po dziś dzień większość zachodnich podręcznikow do historii Europy sprawy te zupełnie ignoruje, przypisując wybuch II wojny światowej „złemu" traktatowi wersalskiemu, który „skrzywdził" Niemców, a więc doprowadził do władzy Hitlera i tak do II wojny światowej. Tymczasem te rzekome „krzywdy" były dla Hitlera tylko pretekstem, poniewaz dążył przede wszystkim do powiększenia niemieckiego „Lebensraum". Tylko niektórzy historycy w swoich specjalistycznych pracach nad okresem

miedzywojennym, występują przeciwko tej legendzie o krzywdach niemieckich rzekomo prowadzących prosto do Hitlera, a więc i do wybuchu Drugiej Wojny Światowej.

Jest Pani współredaktorem, wraz z prof. Natalią S. Lebiediewą i prof. Wojciechem Materskim, książki p.t. „Katyń: A Crime Without Punishment". Książka, wydana przez prestiżowy uniwersytet Yale, liczy blisko 600 stron. W dwa lata później ukazało się drugie wydanie uzupełnione. Wstępy do tomów rosyjskich pisała Lebiediewa, a do polskich Materski. W amerykańskim wydaniu, poszczególne trzy części poprzedzają znakomite wstępy napisane przez Panią.

Nowojorski Polish Institute of Arts and Sciences Pani pracę redakcyjną nad książką o Katyniu, jak też Pani ogólny dorobek naukowy, nagrodził w postaci *Distinguished Achievement Award* (2007). Jak „Katyn: A Crime Without Punishment" został przyjęty przez historyków angielskojęzycznych?

Niestety bez większego zainteresowania, z wyjątkiem paru recenzji, szczególnie pióra dr Dariusza Tolczyka, który moje wstępy do każdej z trzech części uznał za „tour de force of contemporary scholarship regarding the Katyn issue" (*The Russain Review*, nr 4/2008). W Anglii wyszła bardzo pozytywna

recenzja pióra prof. Johna Foxa (*The Slavonic and East European Review, October 2009).* W Niemczech m.in. bardzo pozytywna recenzja prof. Jana C. Behrendsa, który stwierdził, że „książka stanowi encyklopedyczny przegląd zagadnienia, jest kopalnią wiedzy dla osób studiujących terror stalinowski, drugą wojnę światową i stosunki polsko-rosyjskie (Zeltschrift fur Ostmitteleuropa-Forschung", t. 58, 2009). Z recenzji w języku polskim cenię sobie szczególnie: tekst pani pióra w „Odrze" (nr 6/2008); wyraża się pani też z uznaniem o tej pracy w artykule w czasopiśmie wydawanym w Kanadzie („Gazeta. Dziennik Polonii w Kanadzie", marzec 2008). Była też polemika Marka Chodakiewicza („Glaukopis", 22/2011), na którą odpisałam. Niestety profesor Chodakiewicz znów nie pojmuje o co mi chodzi, kiedy mnie poucza, dlaczego oprócz oficerów Wojska Polskiego, zwykli polscy policjanci też byli ofiarami zbrodni katyńskiej. …Powinien zajrzeć do „Katynia…" s. 37. Piszę tam, że teczka Szczepana Olejnika, policjanta z Borszczowa, teraz na Ukrainie – jedyna, która się zachowała ze wszystkich teczek ofiar w tej grupie – dowodzi, że sam fakt bycia plicjantem wystarczał za powód do zagłady. Jest oczywiste, że polskich policjantów Sowieci także uważali za wrogów.



University of Kansas, fot. Wikimedia Commons

Wiele pisze Pani na temat polityki brytyjskiej i amerykańskiej wobec Polski podczas II wojny światowej. W Polsce pojawiaja się artykuły wytykające, że rząd RP nic nie zrobił dla uczynienia Katynia sprawą publiczną.

Jako znawca stosunkow polsko-brytyjskich w tym okresie mogę Panią zapewnić, że rząd R.P. nie mógł zrobić niczego, aby o zbrodni Katynskiej poinformować opinię zachodnią podczas wojny. Jak wiadomo, zarówno Churchill jak i Roosevelt dążyli przede wszystkim do wygrania wojny z Niemcami, co było niemożliwe bez udziału Armii Czerwonej. Zaś Franklin D. Roosvelt liczył przede wszystkim na późniejszą pomoc sowiecką przeciwko Japonii. Cenzura brytyjska była bezwzględna. Poza tym, rząd brytyjski kontrolował przydział papieru na gazety w

języku polskim. W USA cenzura też nie puszczała niczego o Katyniu, a jednej polskiej radiostacji, która się odważyła mówić o tym, zagrożono odebraniem licencji.

Jest Pani autorką wielu współczesnych omówień historycznych. Na łamach „Przeglądu Polskiego" (dodatku do polonijnego nowojorskiego „Nowego Dziennika") pisała Pani między innymi o śledztwie katyńskim z lat 1990-2005.

Zastanowia, że aczkolwiek stanowisko rosyjskie pod względem Katynia jest znane od lat, to dlaczego nie było śledztwa polskiego? Wspomina Pani, że śledztwo polskie wszczęto w latach 90. ub. wieku, ale zostało zaniechane, gdyż ministerstwa sprawiedliwości obu państw nieoficjalnie uzgodniły – zapewne w celu niepogarszania wzajemnych stosunków – pozostawić je stronie rosyjskiej. Czy coś zmienia się w tej sprawie?

Śledztwa polskiego zaniechano w latach 90. w założeniu, że ówczesny prezydent Rosji, Borys Jeltsyn, który przekazał prezydentowi Wałęsie kluczowe dokumenty dotyczące zbrodni katyńskiej w październiku 1992 roku, potrafi należycie dopilnować śledztwa rosyjskiego. Oprócz tego, trwały rozmowy z rządem rosyjskim o budowie cmentarzy w Katyniu i Miednoje, a z rządem ukraińskim o cmentarzu w Charkowie. Kamienie węgielne we wszystkich trzech miejscach założono w 1998 roku,

a cmentarze zostały otwarte w 2000 roku. Tymczasem Vladimir Putin pozwolił Rosyjskiej Głównej Prokuraturze Wojskowej umorzyć śledztwo, najpierw nieformalnie jesienią 2004 roku, a później publicznie w marcu 2005. Sledztwo polskie ruszyło w listopadzie 2004 roku.

Główną role ze strony rosyjskiej grała i gra nadal rosyjska duma narodowa. Bardziej szczegółowy opis tej sprawy do lata 2006 roku. znaduje się w mojej przedmowie do części trzeciej „Katyn. A Crime Without Punishnent".

Pisze Pani, że podobnie prosowiecko zachowała się jeszcze przez wiele lat po wojnie Wielka Brytania. Przypomina Pani, że wyjątkiem była znakomita książka Louisa FitzGibbona („Katyn – A Crime Without Parallel"), i że w BBC pokazano program na temat Katynia (1972). Czego można oczekiwać teraz od Wielkiej Brytanii?

Louis FitzGibbon wydał cztery książki o Katyniu. Publikował w nich dokumenty norymberskie oraz inne, np. opublikowane dokumenty brytyjskie, a więc nie wymagające wykupienia praw do publikacji. Jeśli chodzi o Wielką Brytanię, to Brytyjskie MSZ wydało w niewielkim nakładzie w 60-tą rocznicę Katynia wybór dokumentów p.t. „British Reactions to the Katyn Massacre, 1943-2003". Ten zbiór dokumentów stanowi swoiste *mea culpa* ze strony Wielkiej Brytanii.

Czego wciąż oczekuje się od strony rosyjskiej? Rodziny zamordowanych np. chciałyby dostępu do archiwów sowieckich.

Zarówno obecny jak i poprzedni rząd, jak też rosyjskie stowarzyszenie *Memorial,* domagają się ze strony rządu rosyjskiego: oficjalnej klasyfikacji zbrodni (zbrodnia przeciwko ludzkości, zbrodnia wojenna); podanie do wiadomości publicznej uzasadnienia do umorzenia śledztwa przez rosyjską Główną Prokuraturę Wojskową; dostępu do wszystkich dokumentów zebranych przez śledztwo prowadzone przez tę prokuraturę; ujawnienia wszystkich katów i współpracowników oraz podania ich pod sąd i potępienia; wreszcie osobistej rehabilitacji wszystkich ofiar polskich.

Publikuje Pani swoje prace naukowe w amerykańskich i polskich pismach naukowych. Na terenie Stanów recenzje Pani pióra ukazały się w *American History Review, Slavic Review i* w kwartalniku *The Polish Review.* Jego rola od chwili założenia w 1956 roku jest nieoceniona. Jest Pani związana i współpracuje z nim od lat. W 2011 roku napisała Pani ważny artykuł o polityce zagranicznej Piłsudskiego i Becka, przypominając ostatni z nim wywiad amerykańskiego dziennikarza Artura Leonarda Waldo. Wywiadem tym zainteresował się prezydent F. D. Roosevelt, który wyraził chęć spotkania się z Beckiem.

Starania sprowadzenia Becka na ziemię amerykańską – gdy się jeszcze interesował tym Roosevelt – uniemożliwiły władze polskie kierowane przez gen. Władysława Sikorskiego. Rząd R.P. jak i rząd francuski sprzeciwiał się w maju 1940 roku przyjazdowi ministra Becka i marszałka Rydza-Śmigłego z Rumunii do Francji lub do Anglii. Natomiast polski program BBC nadał wiadomość o ucieczce ministra w październiku 1940 roku właśnie tego samego dnia, gdy próbował uciec. Zresztą, policja rumuńska wiedziała o tym zamiarze i na niego już czychała, a palce w tym maczała ambasada R.P. O nikczemnym traktowaniu ministra Becka przez rząd R.P. pisałam w artykule, „Czy Los Ministra Józefa Becka był przesądzony? Działalność wrogów i przyjaciół". Bardzo dobry artykuł nt. starań prezydenta Roosevelta, aby wydobyć ministra Becka z Rumunii napisał polski historyk Marek Kornat.

Pani Profesor, jakie są Pani najbliższe plany naukowe?

W wieku 82 lat jest raczej trudno mówić o planach naukowych. Chciałabym jednak zwrócić uwagę na to, co robię teraz, np. na moje wykłady z historii Europy Wschodniej w Internecie, które zaczęłam tam umieszczać dla moich studentów we wczesnych latach 2000. Przeglądam wciąż te teksty, zmieniam i dodaję nowe odkrycia oraz interpretacje, jak też bibliografię. Wiem, że korzystają z nich studenci zaineresowani historią tej części Europy. Jak wspominam w przedmowie do tych wykładów,

pisane są ze szczególnym uwzględnieniem Polski. Tytuł i Portal: *Hist. 557. Nationalism and Communism in East Central Europe*.

Oprócz tego, służę jako konsultant do historii Polski autorom, czasopismom i wydawnictwom. Ostatnio byłam głównym konsultantem do książki o Solidarności napisanej przez kanadyjską autorkę Heather Kirk, *Be Not Afraid. The Polish (R)evolution „Solidarity”.*

Wywiad ukazał się (w:) „Odra”, maj 2012 r.



Fot. Wikimedia Commons

Profesor Anna Cienciała z University of Kansas w Stanach Zjednoczonych, historyk dyplomacji II Rzeczypospolitej okresu 1919-45, autorka wielu prac naukowych na temat polityki Wielkiej Brytanii i USA wobec Polski podczas II wojny światowej. Jest m.in. autorką pierwszej książki w języku angielskim o polskiej dyplomacji i stosunkach międzynarodowych okresu międzywojennego, „Poland and the Western Powers, 1938-1939.

A Study in the Interdependence of Eastern and Western Europe" (1968). Jest także współredaktorem i autorką wstępów do trzech części książki p.t. „Katyń: A Crime Without Punishment" (Yale University Press 2007, przedruk z poprawkami 2009), redaktorem i autorką dwóch rozdziałów (w:) Tytus Komarnicki, Anna M. Cienciala, „From Versailles to Locarno. Keys to Polish Foreign Policy 1919-1925" (University Press of Kansas, 1984) oraz około 165 innych opracowan naukowych.

Nowojorski Polish Institute of Arts and Sciences 2007 roku pracę redakcyjną nad książką o Katyniu, jak też ogólny dorobek naukowy Profesor Cienciały, nagrodził w postaci Distinguished Achievement Award. W 2012 roku profesor Anna Cienciała została laureatką nagrody londyńskiego Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie za całokształt twórczości. W 2014 została odznaczona Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Zasługi.

Zmarła 24 grudnia 2014 roku w szpitalu w Ft. Lauderdale na Florydzie, gdzie znalazła się w drodze z wakacji. Dostała silnego (trzeciego w czterech ostatnich latach) zapalenia pluc w czasie rejsu statkiem na Karaiby.

*

Zobacz też:

„Wychowaj dzieci z szacunkiem do przeszłości” – Tomasz Jędrzejewicz o swoim ojcu

Zbiory polskie w Instytucie Hoovera

Uczony jest zawsze do pewnego stopnia dziwakiem

Między nauką a literaturą

„Proces Pana Cogito” – intymny i intensywny spektakl Teatru Nasz



„Proces Pana Cogito”, Teatr Nasz, Chicago 2022, wiolonczelistka Lilianna Zofia Wośko jako Śmierć, fot. Dariusz Lachowski

Małgorzata Oman *(Chicago)*

W moim pierwszym artykule napisanym dwa lata temu na temat chicagowskiego Teatru Nasz, wspomniałam podekscytowana o ich zamierzeniach. Dowiedziałam się bowiem, że chcą zająć się twórczością Schulza i Herberta. Potem jednak na temat tych planów zapadła cisza. Teatr wystawił w listopadzie 2021 roku, bardzo piękną i poruszającą inscenizację “Najdroższa” w oparciu o poezję Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, wracał do swoich „starych” spektakli, ale o Herbercie nie było słychać. Nic dziwnego zatem, że kiedy na początku września tego roku otrzymałam zaproszenie na “Proces Pana Cogito” uśmiech pojawił się na mojej twarzy – a jednak zrobili! – pomyślałam. Poczułam radość i ciekawość – co tym razem wymyśli Andrzej Krukowski i czym nas zaskoczy. No i oczywiście – wymyślił i zaskoczył.

“Proces Pana Cogito” wystawiony przez Teatr Nasz, odbył się 23 września w ramach IV Kongresu Teatru Polskiego w Chicago i miał miejsce w Zakładzie Mechaniki Samochodowej A Action Auto Inc.

Nie, to nie pomyłka. Był to spektakl, który określiłabym dwoma słowami – intymny i intensywny. Intymny, bo było nas, widzów,

tylko około dwudziestu. Intensywny, bo nie pozwolił na obojętność.

***

Tuż po wejściu na teren zakładu, dostajemy do rąk białe plastikowe kombinezony i zostajemy poproszeni, aby się w nie przebrać. Tak ubrani, przechodzimy do małego pomieszczenia, gdzie siadając wzdłuż białych ścian od razu wtapiamy się w ich tło. Białe ściany i białe kombinezony dopełnia białe światło, sączące się z neonowych żarówek wmontowanych w długie, wąskie otwory.



„Proces Pana Cogito”, Teatr Nasz, Chicago 2022, Andrzej Krukowski jako Pan Cogito, fot. Dariusz Lachowski

Na środku tego wydłużonego pomieszczenia stoi także długi prostokątny stół na kółkach, jest przykryty czarnym suknem. Stół operacyjny? Na krótszej krawędzi stołu siedzi, owinięty przezroczystą folią, skulony Pan Cogito. Ewidentnie, jeszcze w łonie matki. W jednym z rogów wąskiej salki stoi stary telewizor. Tuż obok, w drugim rogu na krześle, otulona jedynie czarnym tiulem, siedzi tajemnicza blada postać z wiolonczelą. Tak jak i nakrycie stołu, stanowi ona wyraźny kontrast z tłem. W pewnym momencie, w czasie spektaklu, uświadamiam sobie, że to śmierć. Dźwięki wiolonczeli będą nam towarzyszyły cały czas, choć trudno je będzie nazwać muzyką. Rwane, czasami wręcz szarpane, momentami melancholijne i tylko chwilowo harmonijne, będą nieustające. Z rzadka przewinie się jakaś znajoma wesoła melodia.

Kiedy drzwi małego pomieszczenia zamykają się, do nienarodzonego jeszcze Pana Cogito dołączają dwie kobiece postacie. Muzy? Skojarzenie przywodzi mi na myśl ich strój. Są bowiem ubrane w białe togi na wzór tych noszonych w starożytnej Grecji. Jedna z nich okaże się być oskarżycielką, druga obrończynią.

Spektakl zaczyna się pięknym tekstem, ”Matka”.

Upadł z jej kolan jak kłębek włóczki. Rozwijał się w pośpiechu i uciekał na oślep. (…) Toczył się po ostrych pochyłościach, czasem piął się pod górę. Przychodził splątany i milczał. (…)

Coś, co daje się szybko zauważyć i przyznam sprawia, że oddycham z ulgą, to fakt, że osoby biorące udział w spektaklu stronią od wysokich tonów deklamacji. Poezja Herberta najlepiej brzmi, kiedy jest mówiona, nie deklamowana. Nigdy nie miałam co do tego wątpliwości. Widać, że aktorki świetnie zdają sobie z tego sprawę. Kolejne wiersze, czy ich fragmenty to po prostu wypowiedzi, wypowiedzi w imieniu Pana Cogito, podczas gdy on sam pozostaje niemy prawie do końca inscenizacji.



„Proces Pana Cogito”, Teatr Nasz, Chicago 2022, Gosia Duch jako Muza-Obrończyni, fot. Dariusz Lachowski

Po chwili, towarzyszymy Panu Cogito w narodzinach. Wychodzi z łona matki. Muzy stopniowo uwalniają go z owijającej folii. Asystują, ale i ciągle oceniają.

> Lewa noga normalna
>
> rzekłbyś optymistyczna
>
> trochę przykrótka
>
> chłopięca
>
> w uśmiechach mięśni
>
> z dobrze modelowaną łydką
>
> prawa
>
> pożal się Boże –
>
> (…)
>
> /O dwu nogach Pana Cogito/

W sumie Pan Cogito jest bezbronny w rękach swoich muz, czy może w rękach losu? To one kierują jego poczynaniami. W pewnym momencie, główny bohater, który długi czas pozostaje w pozycji skulonej, trzymając w ramionach trudny do rozpoznania przedmiot, zostaje poddany operacji. Muzy rozciągają jego ciało na wprost na stole. Oskarżycielka, zaczyna powoli wycinać część po części, organ po organie z jego nieruchomego ciała. Rozkłada Pana Cogito na czynniki pierwsze? Chce zobaczyć co w nim siedzi? Z wyciąganych kawałków mięsa spływa krew.

> …bardzo długo utrzymywało się przekonanie
>
> że człowiek nosi w sobie
>
> spory rezerwuar krwi
>
> pękatą beczułkę
>
> dwadzieścia parę litrów-
>
> bagatela
>
> stąd można zrozumieć
>
> wylewne opisy bitew

> pola czerwone jak koral
>
> wartkie strumienie posoki
>
> niebo które powtarza
>
> nikczemne hekatomby…
>
> /Pan Cogito myśli o krwi/

Krople krwi zawieszają się na pozostałościach folii. Scena robi mocne wrażenie.



„Proces Pana Cogito”, Teatr Nasz, Chicago 2022, fot. Dariusz Lachowski

Według wielu literaturoznawców, tomik “Pan Cogito” stanowi apogeum twórczości Herberta. Posługując się tzw. liryką roli, poeta stworzył postać człowieka myślącego, który przygląda się otaczającej go rzeczywistości, dziwi się jej i ją ocenia. Tak jak i my próbuje odnaleźć się w sytuacji, w swojej rzeczywistości. Daleko mu jednak do ideału, do bycia bohaterem. Jest zdecydowanie jednym z nas.

> W domu zawsze bezpiecznie
>
> Ale zaraz za progiem
>
> Gdy rankiem Pan Cogito
>
> Wychodzi na spacer
>
> Napotyka – przepaść
>
> Nie jest to przepaść Pascala
>
> Nie jest to przepaść Dostojewskiego
>
> Jest to przepaść na miarę Pana Cogito
>
> (…)
>
> /Przepaść Pana Cogito/

Liryka roli, pozwala poecie na większy dystans do wypowiedzi Pana Cogito, z którym jak sam poeta podkreślał, nie zawsze się zgadza. To nie do końca autorskie alter ego. Oceniając Pana Cogito, autor ocenia i nas w naszych codziennych poczynaniach i

rozważaniach.

> Na pierwszej stronie
>
> Meldunki o zabiciu 120 żołnierzy
>
> Wojna trwała długo
>
> Można się przyzwyczaić
>
> Tuż obok doniesienie
>
> O sensacyjnej zbrodni
>
> Z portretem mordercy
>
> Oko Pana Cogito
>
> Przesuwa się obojętnie
>
> Po żołnierskiej hekatombie
>
> Aby zagłębić się z lubością
>
> W opis codziennej makabry…

/Pan Cogito czyta gazetę/

W momencie kiedy padają pierwsze słowa tego wiersza, zostaje włączony, stojący w rogu telewizor. Na jego ekranie pojawiają się sceny z obozów koncentracyjnych, sceny molestowania kobiet, sceny erotyczne. Czarno-białe obrazy przykuwają uwagę i wpijają się w naszą świadomość. Tymczasem z ust oskarżycielki słychać:

…w mieście wybuchła epidemia

instynktu samozachowawczego

świątynię wolności

zamieniono na pchli targ

senat obraduje nad tym

jak nie być senatem

obywatele

nie chcą się bronić

> uczęszczają na przyspieszone kursy
>
> padania na kolana
>
> /Pan Cogito o postawie wyprostowanej/

Kiedy ukształtowany przez życie Pan Cogito stanie przed nami jest niemal nagi, jego okrycie to przewiązana przez biodra biała Chrystusowa przepaska. Ta nagość sprawia, że i widz czuje się odsłonięty, odarty z pancerza powierzchowności, bezbronny, wyczulony na każde słowo. Widmo Śmierci nie przestaje asystować. I choć w pewnym momencie Pan Cogito i muzy dają się ponieść krótkiej skocznej melodii, trwa to bardzo krótko. Po chwili znów pobrzemiewają urywane tony i jej wzdychania. Cierpliwie czeka na swój moment.



„Proces Pana Cogito”, Teatr Nasz, Chicago 2022, Gosia Duch jako Muza-Obrończyni, Aldona Olchowska jako Muza-Oskarżycielka i Andrzej Krukowski jako Pan Cogito, fot. Dariusz Lachowski

Spektakl kończy, “Przesłanie Pana Cogito”. Dopiero teraz słyszymy głos głównego bohatera. To piękny przekaz w wykonaniu Krukowskiego. Każde słowo wyważone, każde słowo przemyślane. To poruszające wykonanie.

> …idź wyprostowany wśród tych co na kolanach
>
> wśród odwróconych plecami i obalonych w proch (…)

> strzeż się jednak dumy niepotrzebnej
>
> oglądaj w lustrze swą błazeńską twarz
>
> powtarzaj: zostałem powołany – czyż nie było lepszych
>
> bądź wierny – idź
>
> /Przesłanie Pana Cogito/

***

Kameralne spektakle od zawsze były moimi ulubionymi. W czasie takich inscenizacji łatwiej jest widzowi wejść w zaczarowany krąg iluzji, którą na scenie tworzą aktorzy. Widz przestaje być widzem, staje się jednym z elementów przedstawienia, współtworzy inscenizację. Tak było i tym razem.

Po spektaklu mogę porozmawiać z jego twórcami, Andrzejem Krukowskim – tytułowym Panem Cogito i reżyserem spektaklu, Aldoną Olchowską – Oskarżycielką, Gosią Duch – Obrończynią oraz wiolonczelistką – Lilianną Zofią Wośko.

Kiedy pytam Andrzeja Krukowskiego, dlaczego musieliśmy tyle czekać na inscenizację poezji Herberta, odpowiada:

Ten spektakl dojrzewał we mnie bardzo długo. Wiele osób zaczęło się już niecierpliwić. Długo też szukałem odpowiedniego miejsca na jego wystawienie.

Skąd wziął się pomysł na proces Pana Cogito? Tym razem pytanie kieruję do Aldony Olchowskiej.

Proces narzucił nam się sam – odpowiada Aldona. – *W trakcie zagłębiania się w poezję Herberta jak i bliższego zapoznawania się z nim jako człowiekiem, stało się jasne, że postrzegamy poetę odmiennie. Ja widziałam rozdźwięk pomiędzy jego poezją, tym co głosił, a jego zachowaniami jako człowieka. Gosia go broniła. Tak więc pod tym kątem zaczęłyśmy dobierać wiersze.*

Komplementując Gosię Duch za jej wykonanie wiersza „Pan Cogito czyta gazetę", w odpowiedzi słyszę"

Wiesz, to był świadomy wysiłek, aby mówić normalnie, opowiadać, relacjonować, a nie deklamować.

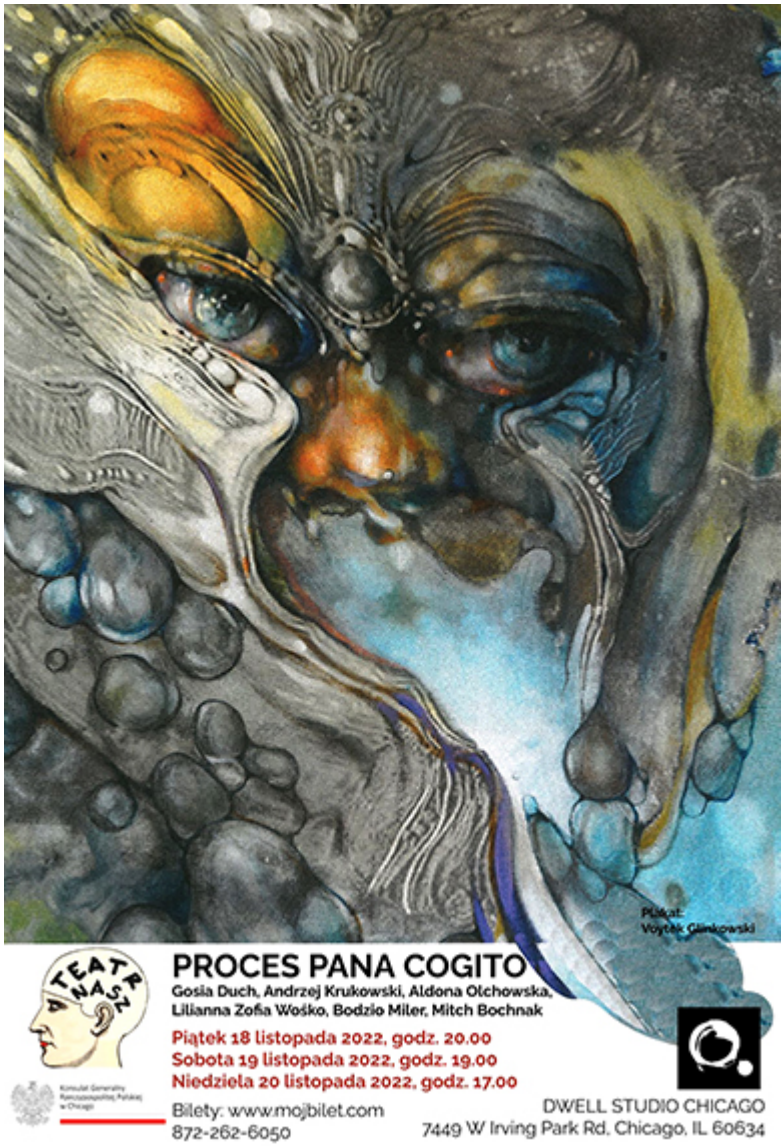
Kiedy pytam o niekonwencjonalne rozwiązania, Krukowski stwierdza stanowczo

– *Każdy element spektaklu ma swoje uzasadnienie w twórczości lub życiu Herberta.* – Zamyśla się na chwilę i dorzuca – *Niezwykłym doświadczeniem było słuchanie jego poezji z*

zamkniętymi oczami. To zupełnie inny odbiór. Niesamowite piękno słów.

Na koniec pytam czy opłaca im się robić spektakl dla takiej garstki osób. Uśmiech pojawia się na twarzy dyrektora Teatru Nasz – *Ja to musiałem zrobić. To nie była kwestia opłacalności. Ten spektakl śnił mi się po nocach.*

Andrzej Krukowski to pasjonat. Jego pasją jest teatr. Daje się to łatwo zauważyć w każdej przeprowadzonej z nim rozmowie. Mam zresztą to samo wrażenie rozmawiając z członkami jego trupy. Dla tych ludzi opcja życia oparta na schemacie "praca-dom-praca" nie wchodzi w rachubę. Cały czas coś planują, tworzą, próbują i wystawiają. I całe szczęście, bo my, widzowie, spragnieni polskich wrażeń teatralnych na obczyźnie, z wdzięcznością korzystamy.



Plakat do spektaklu „Proces Pana Cogito”, Teatr Nasz, reż. Andrzej Krukowski, Chicago 2022, projekt plakatu: Voytek Glinkowski

*

Zobacz też:

> „Bal w operze” Juliana Tuwima wystawiony przez Teatr Nasz w Chicago

> “Kwartet dla czterech aktorów” wystawiony przez TEATR NASZ z Chicago

> III Kongres Teatru Polskiego w Chicago

Dorota Górczyńska-Bacik i Remigiusz Juśkiewicz

na Międzynarodowym Festiwalu Monospektakli MonoWschód w Wilnie



Wilno, fot. arch. Doroty Górczyńskiej-Bacik

Agnieszka Kuchnia-Wołosiewicz *(Wielka Brytania)*

„Najważniejszy jest aktor!”– pod takim hasłem został oficjalnie otwarty i zamknięty 6. Międzynarodowy Festiwal Monospektakli MonoWschód, który odbywał się od 26 października do 30 października 2022 roku na Litwie. Spektakle prezentowane były przede wszystkim w Wilnie, ale także w Trokach i Rudominie. Z tej okazji, podobnie jak w ubiegłych latach, wschodnich sąsiadów Polski odwiedziła, mieszkająca na co dzień w Wielkiej Brytanii, Dorota Górczyńska-Bacik (aktorka, poetka, malarka, dyrektor polonijnego *Teatru Katharsis*) wraz z Remigiuszem Juśkiewiczem (muzykiem, wokalistą i kompozytorem, autorem audycji muzyczno-kulturalnej *Remiza* oraz laureatem 3. nagrody Międzynarodowego Festiwalu Piosenki Sanremo Senior ’22).



Festiwal Monospektakli w Wilnie, fot. arch. Doroty Górczyńskiej-

Bacik

Artyści zaprezetnowali program pt. *Nie-dopasowana do dźwięków*, inspirowany tytułem najnowszego tomiku Doroty. Publiczność zachwyciła się ich występem, którym zabrali widzów w świat poezji i muzyki. Z całą pewnością wrócą więc do Wilna za rok. Poetka, choć wystąpiła w duecie, z całą pewnością swoją aktorską interpretacją własnych utworów lirycznych wpisała się w królujący na festiwalu monodram, dający niepowtarzalną okazję do zaprezentowania pełnego wachlarza jej umiejętności. Jest to tzw. „solo estradowe" – gatunek trudny i wymagający, ale jednocześnie przynoszący szczególną satysfakcję. Prezentacja Doroty i Remiego stanowiła jeden z najbardziej muzycznych spektakli zaprezentowanych tego roku, obok *Być jak Charlie Chaplin* w wyk. Mateusza Deskiewicza (solisty Teatru Muzycznego w Gdyni). Warto podkreślić, że śpiewu było znacznie więcej m.in. za sprawą Stanley'a Łopuszyńskiego i Doroty Sacewicz, którzy prowadzili wieczorny program pt. *Pieśń, Kabaret, Recital*.

– *Wilno, kochane Wilno!* – mówi Dorota Górczyńska-Bacik zapytana o emocje, jakie towarzyszyły jej w tym roku, dodając – *Trudno w kilku zdaniach powiedzieć o tym, wszystkim czego za każdym razem doświadczam podczas Festiwalu. Mogłabym opowiadać godzinami. Jestem szczęśliwa, że mogę być częścią tego przedsięwzięcia, a od pewnego czasu towarzyszy mi też mój serdeczny przyjaciel i muzyk, Remi Juśkiewicz.*

– Mamy już w stolicy Litwy swoją publiczność. Pamiętają nasze piosenki sprzed roku, śpiewaja z nami również te nowe. Czego tu chcieć więcej? – żartuje Remi Juśkiewicz, jednocześnie podkreślając – *Dla mnie ważne były, poza doznaniami artystycznymi, warsztaty multimedialne, które mogą pomóc mi w rozwijaniu audycji „Remiza”.*



Wilno, Ostra Brama, fot. arch. Doroty Górczyńskiej-Bacik

Program tegorocznego festiwalu był niezwykle bogaty: spektakle, recitale, warsztaty teartalne, spotkania z artystami

i twórcami, którzy przyjechali z kilku krajów europejskich: Anglii, Litwy, Niemiec, Polski, Szkocji i Ukrainy.

– *Celem projektu jest stworzenie aktorowi szansy spotkania sam na sam z widzem, by się mógł dla nich otworzyć, podzielić się swoimi przeżyciami, problemami i krytycznym spojrzeniem na coraz trudniejszą rzeczywistość. Tym samym widz ma szansę na odróżnienie dobra od zła* – mówi Lila Kiejzik, dyrektorka Polskiego Teatru „Studio" w Wilnie i tegorocznego Festiwalu MonoWschód.

Organizatorem wydarzenia był Polski Teatr „Studio" w Wilnie przy wsparciu Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie", a finansowany ze środków Kancelarii Prezesa Rady Ministrów RP w ramach konkursu „Polonia i Polacy za Granicą 2022". Odbywał się on pod patronatem honorowym Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego prof. Piotra Glińskiego.

https://kuchniawolosiewicz.blogspot.com/

Artykuł publikowany był w „Kulturze" i „Polonia24".

*

Zobacz też:

„Piosenki na koniec tygodnia” – projekt muzyczny Remiego Juśkiewicza z Londynu

Spotkania z poezją – projekt literacki Doroty Górczyńskiej-Bacik z Dunstable, UK

Moje Camino, czyli jak przezwyciężyć siebie

Rozmowa z Czesławem Sornatem – psychologiem, artystą i podróżnikiem, mieszkającym w Austin w Teksasie

*



Czesław Sornat w swoim apartamencie-pracowni w Austin, czerwiec 2022 r., fot. Joanna Sokołowska-Gwizdka

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Odbyłeś wiele podróży, w tym dwie dookoła świata, odwiedziłeś 89 krajów. W tym roku byłeś na trzeciej wyprawie Camino de Santiago. Jak to się stało, że zacząłeś podróżować?

Czesław Sornat:

Zaczęło się od czytania książek podróżniczych. Już w szkole podstawowej byłem zafascynowany serią książek Alfreda Szklarskiego o podróżach Tomka. Potem zacząłem czytać

Arkadego Fiedlera, czy norweskiego podróżnika Thora Heyerdahla, uczestnika dwóch wypraw transoceanicznych na tratwie „Kon-Tiki” i papirusowej łodzi „Ra”. Następnie przyszło zauroczenie podróżnikiem i reportażystą Wacławem Korabiewiczem, który w 1930 r. podróżował kajakiem do Turcji i Indii, był uczestnikiem wyprawy w głąb dżungli brazylijskiej itd. No i oczywiście nie mogłem się oderwać od reportaży Ryszarda Kapuścińskiego. To były moje wczesne fascynacje podróżami, ale wtedy wszystko było tylko w granicach marzeń.

Kiedy zaczęły się Twoje prawdziwe podróże?

Myślę, że w szkole średniej, gdy brałem udział w Rajdach Świętokrzyskich. Dwa razy w roku wyruszałem na pięciodniowe wyprawy z plecakiem. Gdy rozpocząłem studia psychologiczne na Uniwersytecie Łódzkim założyłem Klub Kajakowy “Paranoja”, w ramach którego prowadziłem wiele międzynarodowych spływów kajakowych. Jednocześnie zostałem członkiem Turystycznego Klubu Studenckiego “W Siną Dal”. Oczywiście do prowadzenia studenckich grup turystycznych musiałem zrobić uprawnienia jako przewodnik.



Camino 2022 r., fot. Czesław Sornat

W latach 70., kiedy podróżowanie mieszkańców bloku wschodniego było ograniczone, przynależność do klubów turystycznych dawała niebywałą okazję, aby zwiedzać świat.

Dokładnie tak. W nagrodę za swoją działalność zostałem wysłany na wyprawę do Bułgarii, Turcji, Syrii i Iraku. Na tej wyprawie spotkałem „bratnią duszę", z którą zdecydowaliśmy się zorganizować wyprawę do Indii, Nepalu i Sri Lanki. Przez cały rok ciężko pracowaliśmy, ale w 1978 udało się nam wyjechać. Trasa prowadziła poprzez Rosję, Iran, Pakistan, Indie, Kashmir, Cejlon, Nepal, Pakistan, Afganistan, Iran i powrót przez Rosję.

Wyprawa trwała pół roku. Mój plecak ważył 44 kg i był pełen konserw i zupek w proszku.

To był burzliwy okres związany ze zmianami politycznymi w Afganistanie.

Tak, w Afganistanie przeżyliśmy rewolucję i byliśmy zatrzymani wielokrotnie przez wojsko jako szpiedzy zachodni. Ale jedynie oficerowie afgańscy mówili po rosyjsku. W Iranie natomiast właśnie wyjechał Shah-in Shah Iranu Mohamed Reza Pahlawi, był okres bezprawia i dopiero po wielu tygodniach przyleciał z Paryża Khomeini. W Meszhedzie byliśmy ostrzelani z karabinu maszynowego, w Teheranie obrzuceni cegłami, aresztowani w Tebrizie przez SAVAK – polityczną policję Shaha. Na szczęście bez większych problemów dojechaliśmy do Polski. W ciągu tych 6 miesięcy schudłem 16 kg. Ale zobaczyłem większość Azji południowo-zachodniej. Na Fiji też przeżyłem stan wojenny i bylem dwukrotnie aresztowany jako szpieg.



Czesław Sornat w swojej pracowni, fot. Joanna Sokołowska-Gwizdka



Czesław Sornat w swojej pracowni, fot. Joanna Sokołowska-Gwizdka

*

I dowiedziałeś się, że świat nie koniecznie tak wygląda jak na pocztówce z wakacji. Czy nie zraziłeś się wtedy do podróży w niebezpieczne rejony?

Nie, wręcz przeciwnie. Wtedy w Indiach złapałem bakcyla

podróżowania i zacząłem nieśmiało myśleć o podróży dookoła świata. W następnym roku wziąłem urlop dziekański i pojechałem na rok do rodziny w Chicago, gdzie jako tokarz zarabiałem na podróż dookoła świata.

Skąd wzięła się Twoja decyzja o emigracji? Czy stan wojenny się do tego przyczynił?

Na początku listopada 1981 r. obroniłem pracę magisterską z psychologii p.t. "Motywy uprawiania turystyki kwalifikowanej". Tydzień później wyjechałem z kolegą w podróż dookoła świata. Zdecydowaliśmy się wyruszyć trasą na wschód. Polecieliśmy do Moskwy, potem do Hanoi w Wietnamie, a stamtąd do Bangkoku w Tajlandii. Wylecieliśmy z Polski dokładnie miesiąc przed wprowadzeniem stanu wojennego w Polsce. Stan wojenny zastał nas w Sydney w Australii.

Znaliście język angielski?

Tylko ja znałem nieco angielski, ale jak się ma otwarte serce, duży uśmiech i dobre zdolności manualne, to się można wszędzie porozumieć.



Camino 2022 r., fot. Czesław Sornat

Jak wyglądała dalsza podróż?

Z Bangkoku pojechaliśmy najdalej na północ, do Złotego Trójkąta i ruszyliśmy na „trekking” w okoliczne wzgórza odwiedzając miejscowe plemiona uprawiające opium. Przez cały czas mieliśmy ze sobą strażnika z karabinem maszynowym (kałasznikowem). Czuliśmy się przez to bezpieczniej, ale jednocześnie, gdy zostaliśmy zaproszeni przez starszyznę jednej ze wsi do wypalenia opiumowej fajki pokoju, to mając strażnika i innych farmerów z karabinami maszynowymi przy sobie, raczej nie “wypadało” im odmówić.

Z Tajlandii pojechaliśmy do Malezji, Singapuru, Indonezji i Sydney w Australii. W Australii, jak już powiedziałem, zastał nas stan wojenny, więc miejscowe władze zezwoliły nam na sześciomiesięczny pobyt z prawem do pracy. Wtedy przydały mi się umiejętności nabyte podczas studiowania w Technikum Mechanicznym, ze specjalnością budowa maszyn dźwigowych i transportowych. Dostałem dobrą pracę jako tokarz-frezer-narzędziowiec.

Z Australii polecieliśmy na wyspy Nowa Zelandia, Nowa Kaledonia, Nowe Hebrydy oraz Tahiti. Na Wyspach Bora Bora spędziłem kilka miesięcy i byłem adoptowany przez miejscową rodzinę.

Jak to się stało, że w końcu osiedliłeś się w USA?

Po zwiedzeniu wszystkich wysp wylądowaliśmy w Los Angeles. Tam, ku mojemu zaskoczeniu, zostałem aresztowany pod pretekstem wyłudzenia w Sydney wizy Stanów Zjednoczonych. A ja wjechałem do USA z legalnym paszportem i z legalnie otrzymaną wizą w Sydney. Jednak nikt nie chciał słuchać moich tłumaczeń, zostałem zatrzymany i wysłany do Immigration Camp w El Centro w Kalifornii. Ze względu na zdecydowane stanowisko sędziego, ani Kongres Polonii Amerykańskiej, ani żaden z Senatorów nie mógł zapłacić za mnie kaucji, żebym mógł czekać na orzeczenie sądu na wolności. Protestowała Polonia w

Los Angeles, Detroit, Chicago i w Nowym Jorku, domagano się, aby mnie wypuszczono z obozu. Było o mnie głośno, pisała prasa polonijna. W końcu dzięki interwencji Departamentu Stanu, po dwóch miesiącach otrzymałem azyl polityczny. Od tej chwili mogłem legalnie mieszkać w tym kraju. Na Sylwestra 1982 r. podczas demonstracji przeciwko stanowi wojennemu przed Konsulatem PRL w Chicago, powiesiłem przed budynkiem skonstruowaną przez siebie naturalnej wielkości kukłę generała Wojciecha Jaruzelskiego, a następnie ją podpaliłem. Podpaliłem też flagę ZSRR. I tak odciąłem sobie powrót do komunistycznej Polski.



Camino 2022 r., fot. Czesław Sornat

Jak potem trafiłeś do Teksasu?

Jako wolny człowiek, po jakimś czasie postanowiłem odwiedzić przyjaciółkę z Warszawy, która mieszkała w Austin w Teksasie. Wkrótce została moją żoną. I tak mieszkam w tym mieście już od 40 lat.

Ale wciąż gnało Cię w świat, uzależniłeś się od podróżowania. Wybierałeś coraz trudniejsze trasy i stawiałeś sobie coraz większe wyzwania. Nie tylko zwiedziłeś wszystkie Parki Narodowe na zachodzie USA, ale np. zszedłeś na trzy dni na dno Grand Canyon. Byłeś też w wielu innych miejscach na świecie, miejscach nietypowych, poza trasami turystycznymi. Czego szukasz w podróżach? Ludzi, miejsc, sytuacji? Czy znajdujesz to, czego szukasz?

Najbardziej interesuje mnie spotykanie nowych ludzi, poznawanie nowych kultur oraz odwiedzanie miejsc, o których czytałem w dzieciństwie i które rozpalały moją wyobraźnię: Wyspy Wielkanocne, Ziemia Ognista, Kilimanjaro, Kathmandu, Goa, Machu Picchu.

Zazwyczaj jestem w 100% usatysfakcjonowany rezultatami swoich poszukiwań i podróży.

W czerwcu wróciłeś z pielgrzymki, trzeciej już w Twoim życiu, do Santiago de Compostella (Camino de Santiago de La Plata). Opowiedz, skąd pomysł na takie wyzwanie.

To było 5 lipca 2017 roku, w moje urodziny. Obudziłem się o 3 w nocy z prześladującym mnie głosem: „muszę iść na Camino, muszę iść na Camino". I znowu usnąłem. Gdy się rano obudziłem, zadałem sobie pytanie – a co to jest to Camino, o co w tym chodzi, bo nigdy wcześniej o tym nie słyszałem. Dopiero poszukiwanie na Google rozjaśniło moje horyzont. Wiedziałem, że muszę się udać na tę wyprawę. Pamiętam totalną ciszę, gdy zakomunikowałem rodzinie, że planuję przejść 500 mil przez całą Hiszpanię ze wschodu na zachód na Camino de Santiago Frances. Zdecydowałem się w lipcu, a już we wrześniu chciałem iść, więc nie miałem czasu na fizyczne przygotowanie. Inni trenowali i maszerowali po 20 mil dziennie przez 4-6 miesięcy. Ja chodziłem zaledwie 6-8 mil przez 2 miesiące. Ale udało mi się, przeszedłem w 29 dni, ale to było na granicy szaleństwa.



Czesław Sornat, Camino 2022 r.

Co to jest Camino?

Camino oznacza Drogę, Ścieżkę, Way, Path. Celem ostatecznym jest miasto Santiago de Compostela i Pola Gwiezdne Świętego Jakuba. Istnieje legenda, że łódź z jego ciałem dryfowała z rejonu Izraela do Hiszpanii. Potem jego grób został odkryty przez biednego farmera. W tym właśnie miejscu wybudowano Katedrę, a od XI wieku rozpoczęły się pielgrzymki.

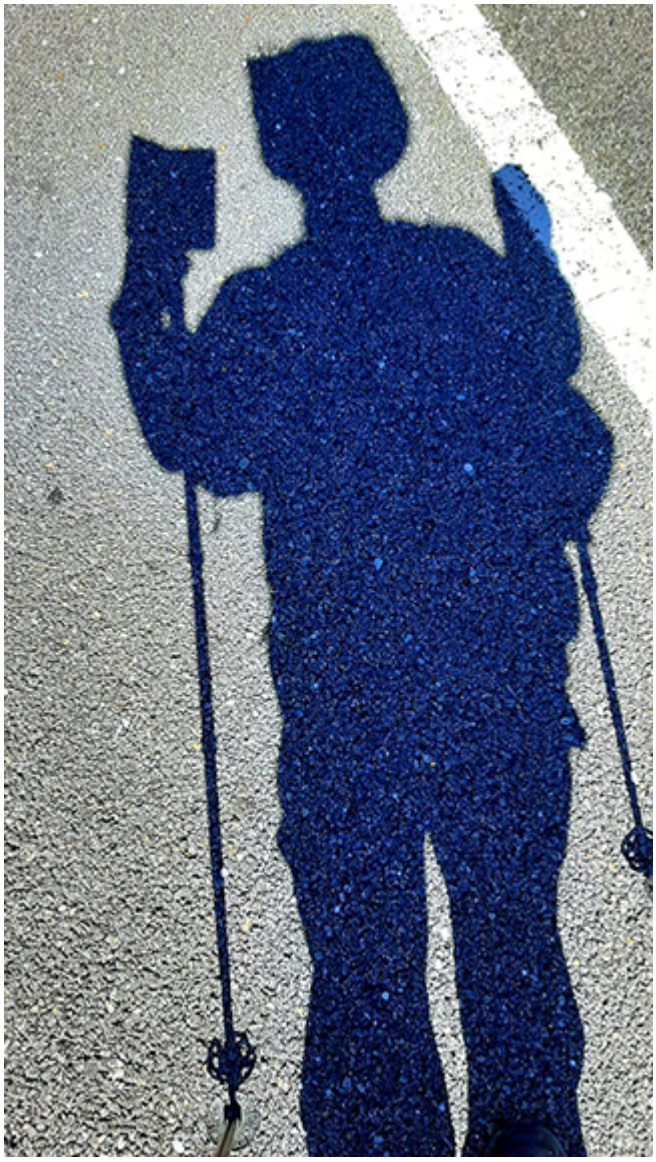
Jak prowadzi trasa?

Najstarsza Camino De Santiago Frances zaczyna się po francuskiej stronie Pirenejów w miejscowości Saint-Jean-Pied-de-Port. Inna trasa Camino Via de la Plata zaczyna się w Sewilii na południu Hiszpanii. Są dziesiątki tras, ja szedłem francuską, potem portugalską, a w tym roku Via de la Plata – czyli Srebrnym Szlakiem. Zacząłem już w Sewilii, ale wcześniej pojechałem kilkadziesiąt mil na południe na brzeg oceanu. Tak więc moja trasa była od oceanu do oceanu.

Idąc Camino de Santiago Frances musiałem przejść przez Pireneje. Nie jest to łatwe, prawie co roku ginie na tej trasie jakiś pielgrzym. W tym roku strażacy zbierali pół-zamarzniętych pielgrzymów z Camino Frances, gdyż nagle zaczął padać śnieg. W tym roku mieliśmy wyjątkowo zimny kwiecień i na mojej trasie Camino hen, hen na południu Hiszpanii rano były temperatury 4-6 stopni C. W nocy było -1, a momentami -3 stopnie C, raz nawet padał śnieg. Spałem w śpiworze we wszystkim ubraniu, które miałem ze sobą.



Camino 2022 r., fot. arch. Czesława Sornata



Camino 2022 r., fot. arch. Czesława Sornata

*

Ile trwa pielgrzymka?

Moje pierwsze Camino przeszedłem w 29 dni. Ostatnie przeszedłem w 37 dni. Jednego dnia szedłem nawet 49 km od 7 rano do 22 w nocy. Idzie się, gdzie szlak powiedzie – przez pola, lasy, góry, wioski i miasta. Pomimo, że przewodniki podają 1006

km, to trzeba wziąć pod uwagę dodatkowe kilometry ze względu na zgubienie trasy, zwiedzanie miast czy zakupy.

Pokonanie siebie i kolejnych barier, to nie lada wyzwanie.

Jest powiedzenie, że każde Camino zaczyna się za progiem twojego domu. Na Facebooku dowiedziałem się o dwójce Polaków, którzy wyruszyli na Camino już z Polski, około 3400 km. To jest wyczyn.

Jak się kończy taka pielgrzymka?

Na zakończenie dostaje się certyfikat, że wszystkie nasze grzechy zostały wymazane. Żeby go otrzymać trzeba mieć coś w rodzaju paszportu kupionego w pierwszej katedrze czy hostelu na trasie. Potem trzeba zbierać stemple ze wszystkich miejscowości, przez które się przechodzi, żeby udowodnić, że się całą trasę przeszło.

Czyli można sobie grzeszyć do woli, a potem iść na pielgrzymkę i się oczyścić. I tak w kółko. Czego dowiedziałeś się o sobie po takiej pielgrzymce?

Dowiedziałem się, że mam w sobie siłę i wytrwałość. Potrafię nie tylko wyjść z głębokiej depresji, ale i przejść z plecakiem przeszło 1000 km w ciągu miesiąca.



Camino 2022 r., fot. Czesław Sornat



Camino 2022 r., fot. Czesław Sornat

*

W relacji z podróży napisałeś, że „umierałeś setki razy”.

Tak, 21 kwietnia 2022 r. zapisałem:

> Ostatnie 15 km umierałem setki razy. Pod górę, leśną drogą,

> którą wybrały sobie strumyki płynące w dół. Woda i błoto prawie bez przerwy. Paranoja. Zatrzymywałem się a często i przewracałem na krawędzi ścieszki żeby złapać oddech co kilkadziesiąt metrów. Myślałem, że dostaję ataku serca. Nawet samochód terenowy by do mnie nie dotarł. Modliłem się na głos, śpiewałem mantry… i następne kilkadziesiąt metrów. Zgubiłem butelkę z wodą, umierałem z pragnienia. Czerpałem dłonią czystą wodę ze strumyków. W dół wybrałem płaską drogę, a nie szlak znowu w błocie i strumykach. A tu w docelowej miejscowości nie ma Alberque dla pielgrzymów tylko hotel. Na następne 12 km już nie miałem siły i było za pozno. Poza tym znowu zimno, wiatr i czarne chmury. Ale znowu Anioł Stróż zlitował się i dopomógł. Żyję i leżę w ciepłym łóżku. Żyję i to najważniejsze.

A to relacja z 23 kwietnia:

> Właśnie dotarłem. Właściciel w kolorowym szlafroku i berecie baskijskim nawet po cichu dał mi puszkę piwa. Jestem czwartym pielgrzymem na 32 łóżka. Wreszcie nie jestem ostatni, wyprzedziłem Niemca z dużym parasolem. Ja założyłem super cienką i lekką pelerynę. Tak, niestety przez godzinę padało. Na szczęście tylko godzinę, a nie cały dzień. Wypiłem piwo i LEŻĘ czując ze serce chce mi wyskoczyć z

> klatki piersiowej. Najpierw było z miasta 8 km ostrego podejścia do przełęczy, a potem ciagle w górę cudownymi drogami polnymi z omszałymi drzewami i kamieniami. Zaczarowany las. Teraz znowu pod górę do tej miejscowości Ceo. Ale już leżę przy ciepłym kaloryferze i spróbuję wyparować resztki potu i zacząć normalnie oddychać.

Gdy tak szedłeś pod górę drogą, którą wybrał sobie górski strumyk, o czym wtedy myślałeś?

Że nie ważne ile razy się przewrócę, ale czy za każdym razem wstanę i będę parł do przodu. A przewracałem się niezliczoną ilość razy. I tego mnie praktycznie nauczyło Camino. Najważniejsze to wstać i znowu iść. Nie ważne, że pada deszcz, że jestem umazany błotem od góry do dołu, że wpadłem w błotnistą dziurę – i z plecakiem wyglądam jak żółw przewrócony na plecy. Z pomocą współtowarzysza ze szlaku jakoś wygrzebałem się z tej dziury i z zaciśniętymi zębami znowu zacząłem wspinać się w górę. Bo innej możliwości nie ma. Pokazałem sobie, że jak się naprawdę czegoś chce, to wszystko można. Tak więc, mimo, że było bardzo ciężko, nie poddałem się.

*

Zobacz też:

Zjawy z wyspy Rapa Nui

Miasto przemytników

Miasto błękitu. Kartka z Maroka.

Transformacje. Czesław Sornat.

Janusz Skowron. 45-

lecie pracy twórczej nowojorskiego artysty.

Janusz Skowron urodził się w Kolbuszowej (1958). Studiował sztuki piękne na Uniwersytecie UMCS w Lublinie. Uzyskał dyplom u prof. D. Kolwzan-Nowickiej (1983). Od 1989 mieszka i pracuje w Nowym Jorku. Jest członkiem międzynarodowej multimedialnej grupy artystycznej „Emotionalism” (od 1999). Brał udział w ponad trzystu wystawach, prezentując swoje prace w Polsce, na Węgrzech, w USA, Korei Południowej, Chinach, Francji, Danii, Czechach, Ukrainie i Niemczech. Uprawia malarstwo, rysunek, fotografię i grafikę. Był kuratorem i promotorem ponad dwustu wystaw i promotorem sztuki polskiej w Ameryce. Współtworzył: Galerię KONT (Lublin 1978), Shtooka Gallery, Starbucks Gallery oraz założył A.R. Gallery (Brooklyn, NY). Jest członkiem PIASA oraz Rady Instytutu Piłsudskiego w Nowym Jorku.



Janusz Skowron

Bożena Chlabicz-Polak *(Nowy Jork)*

Prawie pół wieku… w życiu artysty – szmat czasu. Moment podsumowań. Pretekst do remanentów w magazynach. Dobra chwila na retrospektywę i pisanie biografii. I taka właśnie chwila nadeszła również dla Janusza Skowrona, ciągle tak aktywnego i pełnego młodzieńczej pasji do sztuki, że naprawdę trudno wierzyć, że już od niemal pół wieku zaraża swoim artystycznym entuzjazmem zarówno polską, jak i – przede wszystkim – nowojorską publiczność.

Na rozpoznawalność i popularność po obu stronach oceanu Janusz zasłużył sobie zarówno liczbą wystaw w USA, Polsce i na świecie, jak też aktywną i intensywną obecnością w środowisku artystycznym swoich dwóch ojczyzn, choć – ze względu na fakt, że żyje i tworzy od ponad trzydziestu lat w Nowym Jorku – jest znany przede wszystkim w Stanach Zjednoczonych. Jest tu nie tylko uznanym malarzem i grafikiem, ale również kuratorem, mecenasem, popularyzatorem i animatorem wystaw oraz wydarzeń artystycznych dla niezliczonej liczby twórców z Polski i Stanów, środowiska polonijnego w Ameryce oraz reszty świata, bo na organizowanych przez niego ekspozycjach prezentują się artyści nie tylko z Europy, ale nawet z Wenezueli czy Korei Południowej. Wiele zawdzięcza mu zwłaszcza środowisko „Emocjonalistów” – grupy twórców ponad wszelkimi, w tym etnicznymi, pokoleniowymi, gatunkowymi i stylistycznymi podziałami – którą współtworzył, jednoczy i wytrwale promuje.



Janusz Skowron, MAGIC LANDSCAPE, acrylic, 2020

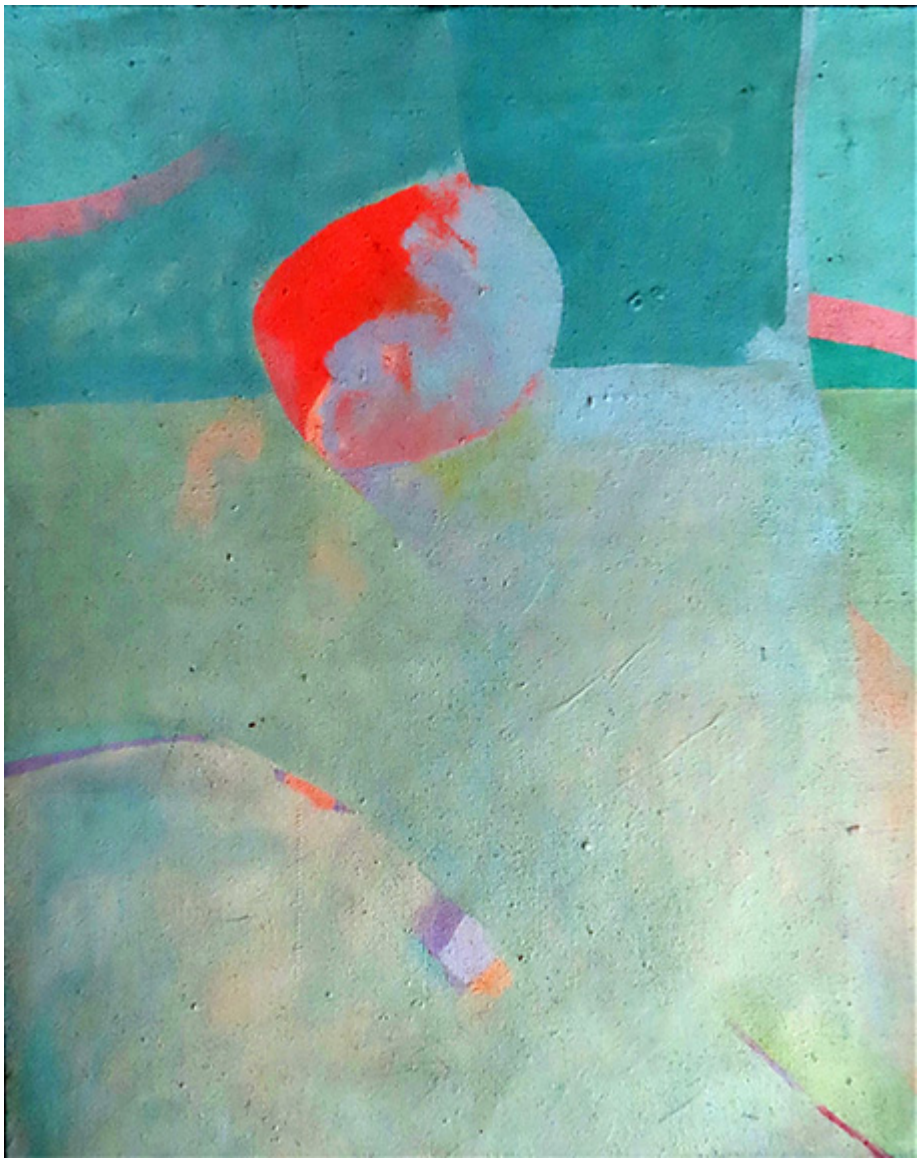
Bez żadnej przesady można więc powiedzieć, że ostatnie pół wieku polonijnego życia artystycznego w Nowym Jorku, to właśnie Janusz Skowron. Nie było bowiem chyba takiej wystawy, wernisażu, koncertu czy innego wydarzenia ze świata kultury. w którym by Janusz – jako grafik i malarz lub kurator, wystawca czy promotor – nie uczestniczył. Nadal zresztą uczestniczy, więc czterdziestopięciolecie jego działalności artystycznej to – być może – wcześnie.

Mam też głębokie przekonanie, że powyższe w pełni odnieść można nie tylko to jego działalności jako animatora kultury, ale przede wszystkim do tego, co dla artysty najważniejsze. Do jego twórczości. Bo – z jednej strony – w najnowszych pracach Janusza Skowrona da się zauważyć swoiste dążenie do „syntezy", a z drugiej nigdy, a więc tym bardziej teraz, nie zrezygnował on z odważnych eksperymentów plastycznych. Nie tylko reinterpretuje zresztą swoje dokonania w tradycyjnych dziedzinach dotychczas uprawianej twórczości, ale śmiało wkracza też w nowe obszary aktywności artystycznej, co dotyczy zwłaszcza grafiki i fotografii.

A przy tym wszystkim udała się mu wyjątkowo trudna – nomen omen – sztuka. W świecie zmieniających się już nie tyle z dekady na dekadę, co z roku na rok trendów i mód stylistycznych, zachował on niezwykłą umiejętność wpisywania się w ich dynamikę, jednocześnie pozostając „sobą".

Z jednej strony w jego pracach, zarówno tych najstarszych jak i bardziej aktualnych, nie ma więc nic z uporczywego trwania przy raz zdefiniowanych rozwiązaniach w imię specyficznie pojętej rozpoznawalności, za co zwykle płaci się etykietą epigona bądź akademika. Z drugiej – w każdym obrazie i grafice na pierwszy (no, czasami na drugi) rzut oka da się dostrzec rękę Janusza Skowrona.

Janusz Skowron nigdy nie był konserwatywny. Nawet w czasach, kiedy jego prace były tak „realistyczne”, jak tylko było można. Ale nie był też „awangardowy”. Był, po prostu, sobą. Być może tajemnica tej równowagi między awangardą i klasyką tkwi w tematyce jego twórczości. Bo co przez te wszystkie lata rysował i malował?



Janusz Skowron, STILL LIFE, oil, 1979



Janusz Skowron, ROLLER SKATES, oil, 1988

*

Otóż, gdy spojrzeć na jego wyciągnięte z magazynów prace sprzed dwóch, trzech czy czterech dekad, znajdziemy na nich kobiety, portrety (przeważnie męskie), martwe natury (zwykle kwiaty) oraz pejzaże. Ale te same prace pokazują, że z każdą mijającą dekadą malował i rysował te swoje ulubione motywy trochę inaczej. Chłonął zmiany języka sztuki doskonale

rozumiejąc, że jego zmienność odpowiada zmienności świata, którą twórczość plastyczna tłumaczy na mowę kształtów, portretuje i wyraża. Ale brał z tej zmienności tylko to, co uważał (zazwyczaj słusznie) za najważniejsze. Dlatego jego akty i portrety kobiet z różnych epok są do siebie zarazem podobne, i zupełnie inne. Różni je to, co w sztuce decydujące – sposób wykonania. A więc paleta barw, metody definiowania kształtów, nawet format.



Janusz Skowron, UTAH1, acrylic, 2017

Na rocznicowej ekspozycji twórczości Janusza Skowrona można

by, dzięki temu, poprowadzić modelowy wykład z dziejów sztuki najnowszej. Był bowiem pop-artystą w czasach pop-artu, nadrealistą wśród nadrealistów i brutalistą między brutalistami, a też abstrakcjonistą w epoce abstrakcji. Choć zawsze bliżej niż do „apollińskiej", było mu do sztuki w jej „dionizyjskim" wydaniu. Mówiąc inaczej – twórczość Janusza Skowrona zawsze ciążyła w kierunku ekspresji. Bardziej wyrażała, niż opisywała. Jeśli decydował się na abstrakcję, to raczej tę z ducha Kandinsky'ego, niż Mondriana. Janusz to „urodzony" ekspresjonista, czy – „emocjonalista", w najbardziej ogólnym, wykraczającym poza konkretne kierunki i trendy rozumieniu.

Dobrze ilustruje tę tendencję zestawienie jego aktów z różnych epok. Albo portretów, zarówno kobiecych, jak i męskich. Te ostatnie z ujęć realistycznych zmieniły się z czasem w demoniczne, pełne bólu i przerażenia „maski". Ta swoista „ewolucja" od realizmu po drapieżny etno-ekspresjonizm z jednej strony demonstruje przywiązanie artysty do tematu – portretu męskiego, a z drugiej stanowi świadectwo jego malarskiej wrażliwości na zmieniające się tendencje artystyczne.

Podobnie mają się sprawy w przypadku rysunku i grafiki – mediów dominujących dotąd w twórczości Janusza Skowrona. Środki formalne w obu dziedzinach ulegają modyfikacji, częściowo pod wpływem eksperymentów na własną rękę, a po części w rytm zmieniających się trendów stylistycznych, ale

tematyka twórczości pozostaje niezmienna – to świat ożywiony. Królestwo zwierząt i roślin. Domena Matki Natury, której personifikacją – zgodnie z tradycją ikonograficzną – w twórczości Janusza Skowrona jest postać kobieca.



Janusz Skowron, WINTER, oil, 2002

Drogę od realizmu przez pop-art i nadrealizm ku abstrakcji z zabarwieniem ekspresjonistycznym najlepiej ilustrują przykłady jego martwej natury i pejzażu. Ale choć abstrakcja wydaje się finalnym dokonaniem artystycznej awangardy, za którym jest już tylko i wyłącznie „ściana” czystego koloru, nie znaczy to wcale,

że twórczość „nieprzedstawiająca”, to kres poszukiwań artystycznych Janusza Skowrona.

Zgodnie z aktualnymi tendencjami w sztuce najnowszej, której eksperymenty zmierzają w kierunku łączenia różnych technik plastycznych i mediów w swoiste „dzieła totalne”, po czterech dekadach równoległego rozwoju także dwa odrębne dotąd nurty twórczości Janusza Skowrona – malarstwo i grafika – wydają się zmierzać ku swoiście rozumianej „fuzji”. Z artystycznej „tezy” – rysunku oraz antytezy – malarstwa, we właśnie rozpoczętym piątym dziesięcioleciu twórczości plastycznej rodzi się u Janusza Skowrona „synteza” – wyraziste, formy graficzne „nałożone” na barwne, malarskie tła-pejzaże.

Artysta nie przestaje eksperymentować również i na innych polach swojej twórczej aktywności. O ile bowiem jego malarstwo właśnie zyskało wymiar graficzny, to grafika zmierza w kierunku… malarstwa. Najlepiej świadczą o tym fantastyczne, fakturowe i bogate nasyconym, skontrastowanym, czystym kolorem monotypie – w punkcie wyjścia realnie istniejące pejzaże, środkami malarskimi sprowadzone do malowniczych abstrakcji. Te wszystkie nowe pomysły, nowatorskie rozwiązania i śmiałe eksperymenty artystyczne dowodzą, że właśnie minionej czwartej dekady twórczości Janusza Skowrona nie sposób traktować jako zwieńczenia jego pięknej kariery artystycznej. Wręcz przeciwnie. Wszystko wskazuje na to, że przed nami

kolejne lata inspirujących wystaw i oryginalnych propozycji artystycznych.

*

G A L E R I A



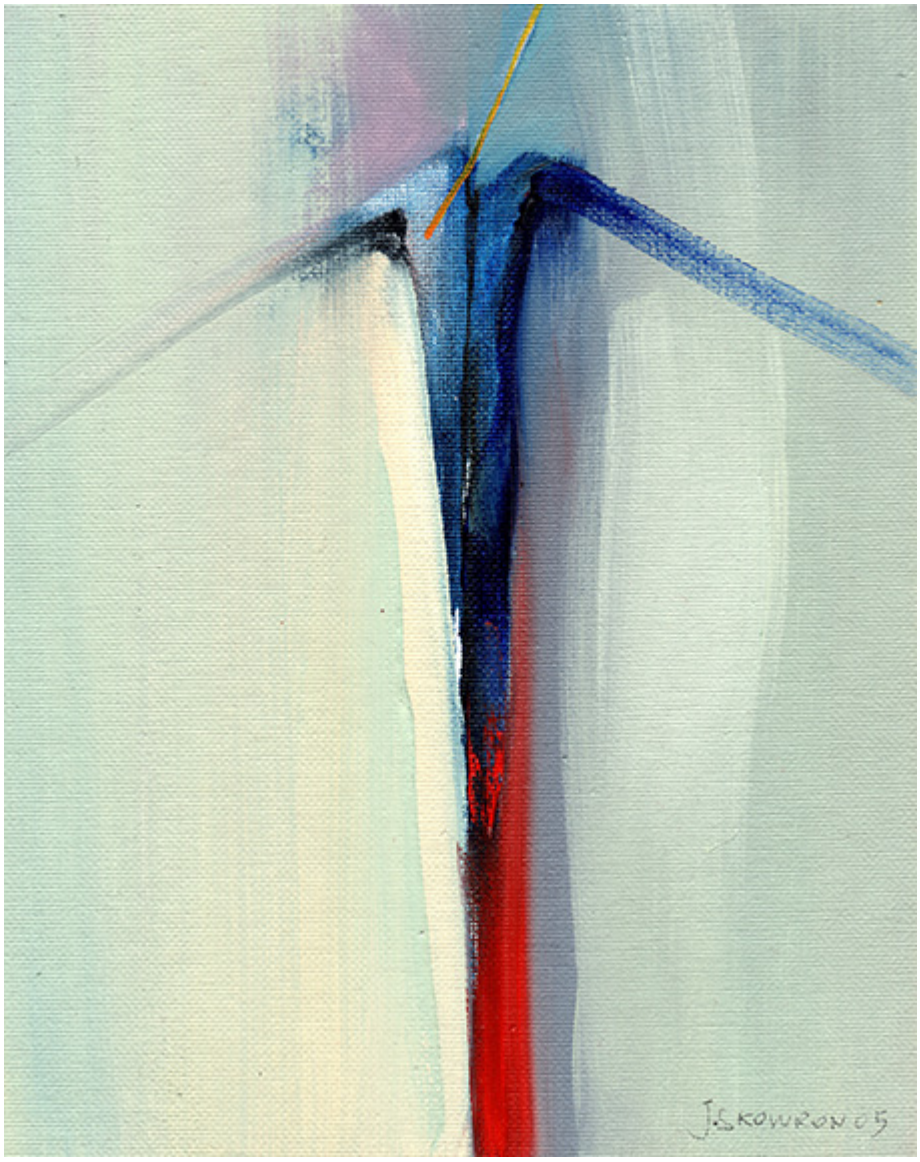
Janusz Skowron, FOREST PARK, acrylic, oil, 1993



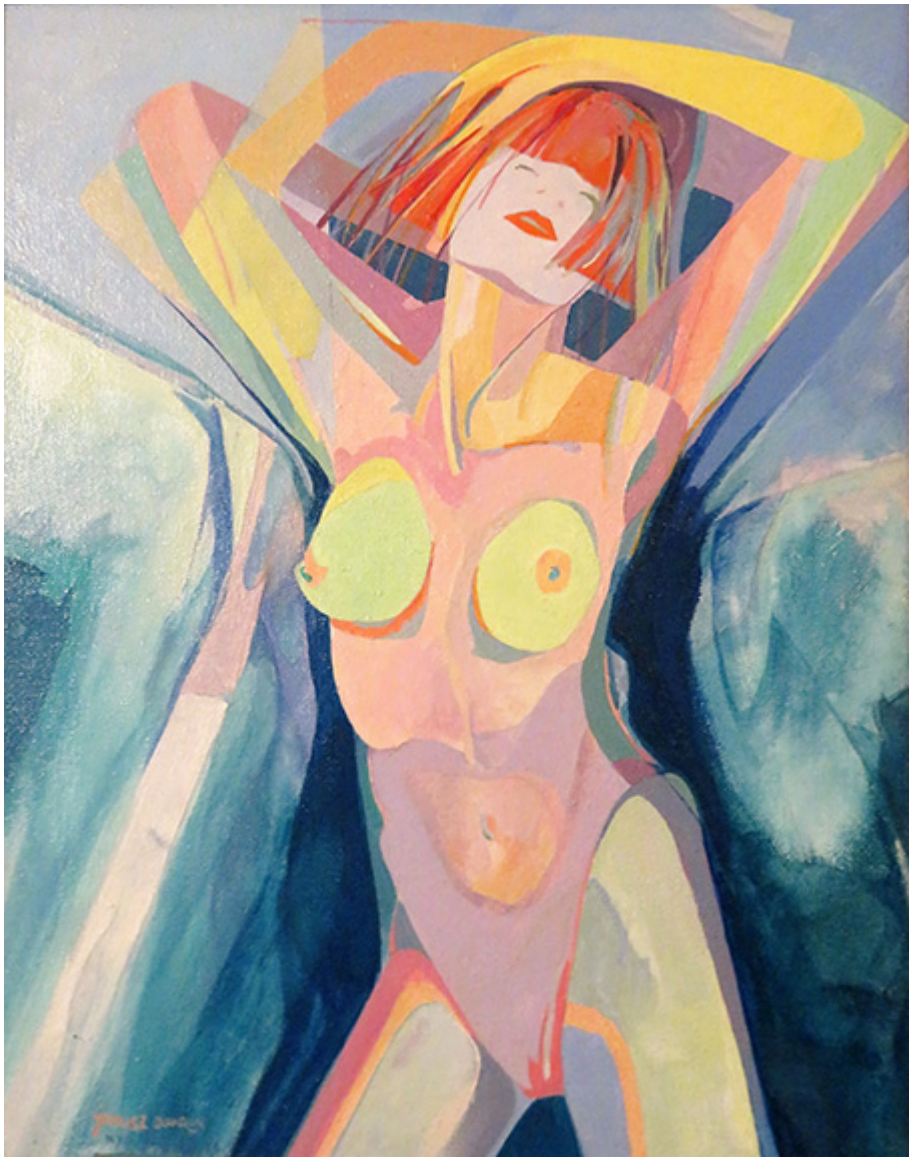
Janusz Skowron, COMPOSITION, oil, 1991



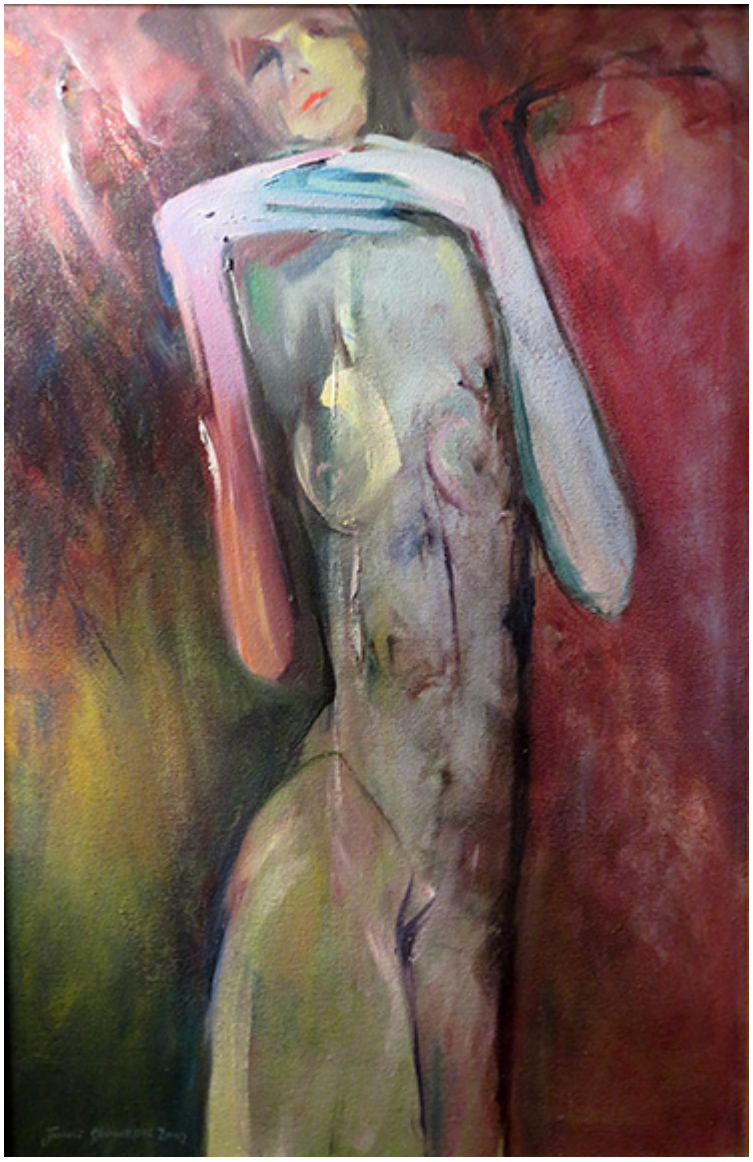
Janusz Skowron, COMPOSITION, acrylic, 2008



Janusz Skowron, ASCENSION INTO HAEVEN, oil, 2005



Janusz Skowron, WOMAN TAKING SHOWER, acrylic, oil, 1993



Janusz Skowron, NUDE, oil, 2002

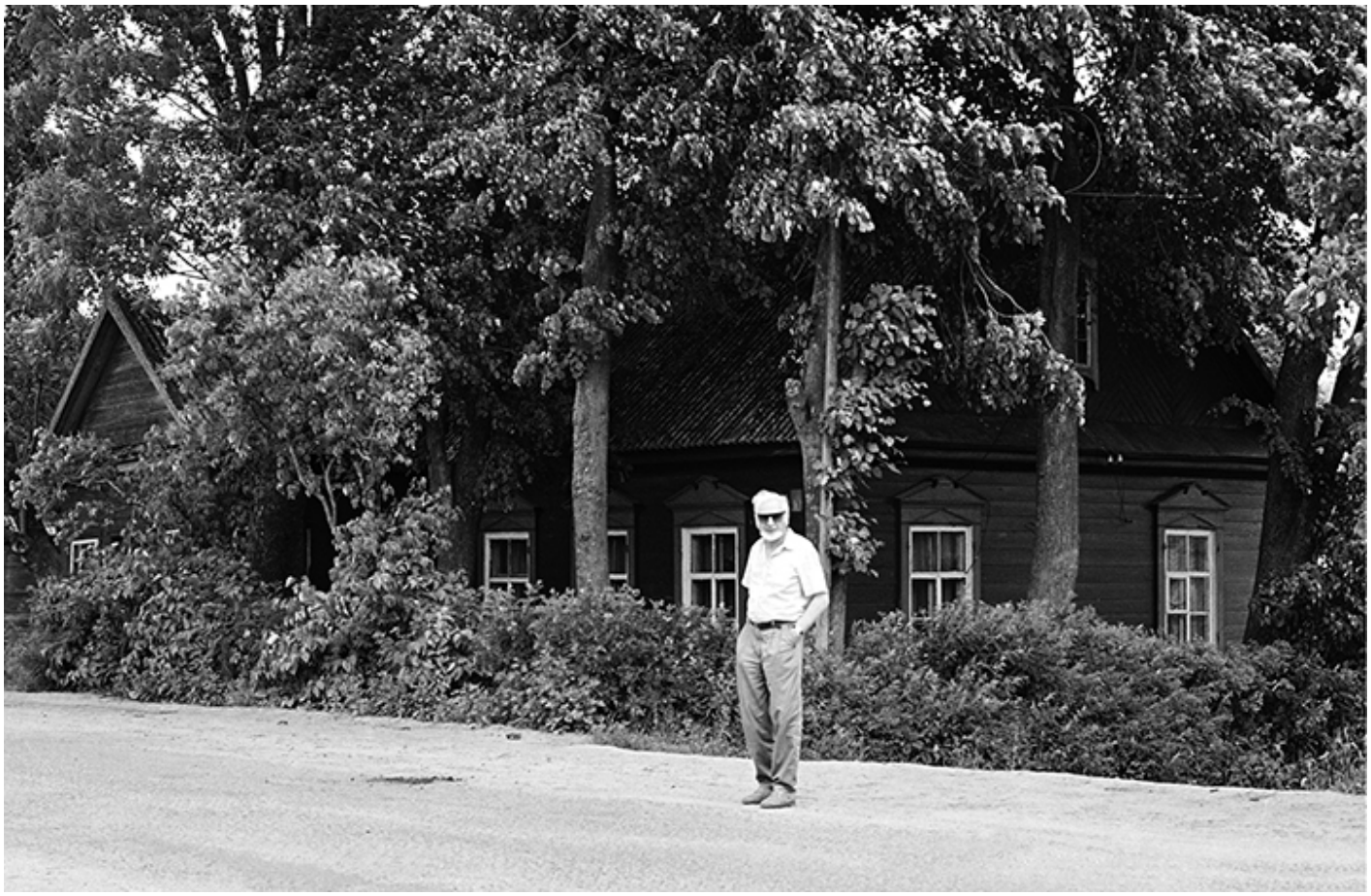


Janusz Skowron, PROPHETIC DREAM DESPERATION, oil, 1997

*

Brasław

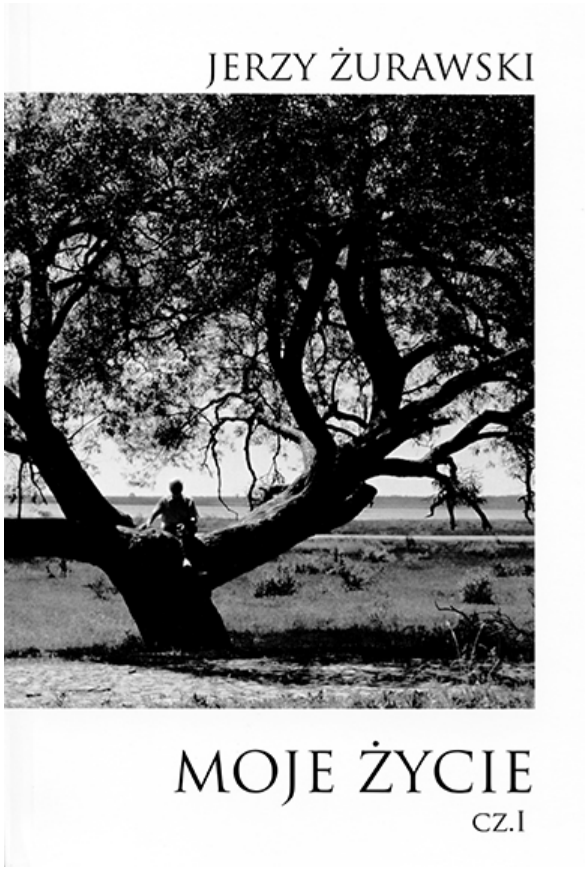
we wspomnieniach Jerzego Żurawskiego



Jerzy Żurawski na tle rodzinnego domu w Słobódce, koło Brasławia, fot. Wrzesław Żurawski, 1994 r.

Jerzy Żurawski urodzony w 1930 roku w Brasławiu na Wileńszczyźnie. Ewakuowany w 1945 roku do Polski Ludowej. Ukończył studia historii sztuki na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim w 1956 roku. W latach 1958-1963 pracował w

urzędach konserwatorskich w Olsztynie i Rzeszowie. W latach 1963-1972 był starszym kustoszem i wicedyrektorem Muzeum-Zamku w Łańcucie. Od 1972 roku pełnił funkcję konserwatora zabytków na Powiat Puławski (Kazimierz, Nałęczów, Puławy) do 1993 roku będąc jednocześnie dyrektorem Muzeum Nadwiślańskiego w Kazimierzu Dolnym do 2000 roku. Członek Polskiego Komitetu Narodowego ICOMOS od 1972 roku. Honorowy Obywatel Janowca i Kazimierza Dolnego.



*

*

Książka Jerzego Żurawskiego „Moje życie” jest jednym w wielu

świadectw losu Kresowian. Autor, przez wiele lat po wojnie, miał w dowodzie osobistym podane miejsce urodzenia Brasław – ZSRR. A jednak urodził się w Brasławiu w wolnej Polsce. O tamtą ziemię, o wolną Ojczyznę, walczył Jego Ojciec i wcześniejsze pokolenia Rodziny. Niestety porządek, który zapanował w Europie po II wojnie światowej zmusił większość Polaków do opuszczenia ukochanej ziemi. Świadkami pozostały do dziś domy i groby.

*

*

*

Jerzy Żurawski: MOJE ŻYCIE, cz. 1, Łańcut 2022, fragmenty

*

ZIEMIA OJCZYSTA

Miałem szczęście, urodziłem się na etnicznej Białorusi wchodzącej wówczas w skład Państwa Polskiego, w przepięknej krainie Pojezierza Brasławskiego, gdzie jak okiem sięgnąć, łagodne wzniesienia, piaszczyste wydmy, sosny i brzozy, no i

jeziora, jeziora. Gdy się patrzy na mapę tego rejonu, to wydaje się, że wody jezior zajmują więcej powierzchni, aniżeli ziemia pomiędzy nimi. Moje miasto rodzinne Brasław, rozciągnięte jest wzdłuż północnego brzegu największego z tych jezior, Drywiaty. Otaczają jeszcze Brasław od północy Cno, Nieśpisz, Bereże, i maleńkie Świecco. Kilka kilometrów dalej, na północy, rozpoczyna się plątanina przepięknych, wielkich jezior, poprzecinanych półwyspami, usianych wysepkami i połączonych cieśninami. To Strusto i Snudy, Wołoso, Niedrowo i Pociech. Nad tym ostatnim leży Słobódka, rodzinna mieścinka mojego Ojca. Wszystko to kraina mojego dzieciństwa, piękna, ukochana, niezapomniana. (...)

BRASŁAW

W 1927 r. (2 kwietnia) Ojciec wydzierżawił od Mikołaja Pietraszkiewicza „działkę położoną we wsi Zanowiackie Gumna na okres 36 lat za kwotę 200 rubli w złocie" (nieruchomość ta znalazła się wkrótce w administracyjnych granicach miasta Brasławia). 30 maja 1928 roku otrzymał pozwolenie na budowę domu. W rok później dom został ukończony, a powiększoną działkę do 2368 m2 Ojciec ostatecznie zakupił na własność od tegoż Mikołaja Pietraszkiewicza. W roku 1932 Ojciec wzniósł za domem budynek gospodarczy, który rozbudował w 1938 roku. Dom został oszalowany i pomalowany na kolor szaro-niebieski w roku 1937. Opaski okien pomalowano na biało. Ze ścianami pęknie komponował się kolor różowej dachówki, stanowiącej

pokrycie domu. Narożny podcień zwany przez nas werandą, porastał gruby kożuch dzikiego wina. Dom nasz był jednym z najładniejszych w Brasławiu. Bardzo lubiłem na niego patrzeć. Podobał mi się, kochałem go i do dzisiaj kocham. W nim się urodziłem 26 lipca 1930 roku, w środę, o godzinie 3 w nocy, w czasie trwającej burzy z piorunami. Okoliczność ta, okazało się, wcale nie zwiastowała mi burzliwego życia, ani wojskowej kariery.

Do tego wszystkiego w roku 1933 Ojciec wydzierżawił od Anny Pietraszkiewicz, a następnie zakupił, dwuhektarową działkę, położoną przy zachodnim brzegu jeziora Świecco. Założył na niej łąkę i pastwisko dla naszej krowy z bezpośrednim dostępem do wody. Łąka była ogrodzona, nawożona i utrzymywana zgodnie z nowoczesną kulturą upraw łąkowych. Gdy w roku 1988 po raz pierwszy po wojnie przyjechałem do Brasławia i poszedłem na „naszą" łąkę, zobaczyłem dwuhektarowy kwadrat trawiastej przestrzeni odróżniający się wyraźnie od łąk sąsiednich. Od naszego domu łąka odległa była o 2 km. (…)

A ja tak tę część krajobrazu podbrasławskiego lubiłem i podziwiałem! Ilekroć wchodziłem na garb terenu, stawałem w zachwycie nad pięknem jeziora Bereże. Unosiły się nad nim zawsze chmary dzikiego ptactwa. Jezioro żyło. Dzisiejsi młodzi brasławianie nie mają pojęcia jak tamte strony bogate były w ptactwo wszelkiego rodzaju i gatunku. Ojciec kochał ptaki,

pokazywał mi je, mówił o ich zwyczajach na licznych spacerach. Wczesną wiosną lubił chodzić w pole posłuchać skowronków. Nauczył mnie wyszukiwania ich na tle nieba i odnajdywania ich gniazd uwitych na ziemi. Nad jeziorami unosiły się całe gromady ptactwa wodnego: mewy w kilku odmianach, białe czajki z prosto zakończonymi na czarno skrzydłami, łabędzie, kaczki, żurawie, perkozy. Stada wron natomiast, krążące nad cmentarzem żydowskim i krzyczące godzinami były ptactwem nieco uciążliwym. Na błotach, zawsze na naszym „błotku", kroczyło po kilka bocianów. Zimą przyglądałem się z okna jadalni gilom żerującym na bzach. Powietrze było krystalicznie czyste. Szalały w nim motyle, ważki, no i komary oraz muchy. (…)

Jak już wspomniałem, dom nasz był jednym z ładniejszych w Brasławiu, a już na pewno w tej części miasta, przekształcającej się ze wsi Zanowiackie Gumna w dzielnicę urzędniczą. Usytuowany na rogu dwóch ulic: 3 Maja i Cmentarnej (obecnie Sovietskaja i 1 Maja). Działka położona była na niewielkim wyniesieniu w stosunku do obydwu ulic tak, że od ul. Cmentarnej różnicę poziomów pokonywało się po kilku schodkach. Od bramki dochodziło się ścieżką pomiędzy trawnikami do narożnego podcienia zwanego przez nas werandą. Tu było główne wejście do domu (drzwi dwuskrzydłowe). Za nim przedpokój, z niego na prawo wejście do saloniku, a na wprost do tzw. pokoju Babci. Dom był dwutraktowy.



Widok Brasławia zza jeziora Nowiato, po lewej kościół, w głębi cerkiew, po prawej Góra Zamkowa, fot. sprzed 1939 r.

W trakcie frontowym mieścił się wspomniany przedpokój, salonik i sypialnia. W trakcie ogrodowym, zachodnim: pokój babci, jadalnia, kuchnia, za nią spiżarnia ze schodkami na strych i sionka prowadząca na podwórze. Obok sionki, w narożniku północno-zachodnim, małe pomieszczenie na ustęp. Z sionki kilkoma drewnianymi stopniami schodziło się na podwórze gospodarcze i do dużego ogrodu warzywnego, w którym rosły także drzewa owocowe oraz krzaki porzeczek i agrestu. (…)

Wracając do domu: w dwutraktowym układzie wszystkie cztery pokoje i kuchnia były połączone drzwiami, z tym, że drzwi w saloniku (wszystkie trzy) były dwuskrzydłowe, filunkowe, co im

dawało bardziej paradny wygląd. Pokoje były wysokie (3 m), ściany pomalowane na jasny ugier, we wszystkich pokojach jednakowo. Podłoga w saloniku była pomalowana farbą olejną na ciemną czerwień, w pozostałych pomieszczeniach na kolor żółty. Drzwi i okna białe, otwierane na zewnątrz. (...)

WIECZORY W DOMU

Pamiętam przedwojenne i wojenne wieczory przy stole. Babcia i Mama robiły jakieś robótki ręczne, cerowanie, łatanie itp. albo tak jak pozostali, czytały książki. Przed wojną książki pożyczało się w bibliotece samorządowej, która mieściła się w budynku „Rolnika" przy ul. Piłsudskiego, dzisiaj jest tam hotel (mniej więcej naprzeciwko cerkwi). Dla mnie też pożyczano jakieś bajeczki kolorowe, których raczej sam nie czytałem, czytano mi je na głos. W czasie wojny książki pożyczano sobie nawzajem. Nigdy ich nie brakowało, chyba po likwidacji biblioteki rozeszły się po domach. Wówczas to zacząłem sam czytać, często zachęcany przez Ryśka Andrzejewskiego, który był molem książkowym, tak, jak Inka. A więc Kraszewski, Sienkiewicz, Verne, a także powieści sensacyjne amerykańskie o okrutnych Indianach i białych broniących swych ognisk domowych i rodzin.

Bardzo często w takie wieczory grano w karty, warcaby, w jakieś głupie planszowe gry, niestety nie w szachy, a także opowiadano różne zdarzenia z własnego życia i zdarzenia przeżyte przez innych. Babcia opowiadała dużo o Kamieńcu Podolskim (to w

związku z „Panem Wołodyjowskim”). My, dzieci, dowiedzieliśmy się wówczas wiele szczegółów z życia rodziny Uniatyckich, w tym o rewolucji, Rosji carskiej sprzed rewolucji, ucieczce najpierw dziadka, a później babci z naszą Mamą i wujkiem Staszkiem. Opowiadania ilustrowała zachowanym albumem i kilkunastoma pocztówkami ukazującymi Kamieniec i jego twierdzę.

Zimowe wieczory były także wykorzystywane przez Babcię do wpajania nam dzieciom dobrych manier towarzyskich. Babcia była damą z wychowaniem dworskim, dziewiętnastowiecznym. Jej poglądy na zachowania już w okresie przedwojennym i wojennym były nieco przestarzałe. Ale w życiu przydały mi się bardzo. Lepiej wszakże być wychowanym przesadnie dobrze, aniżeli niedostatecznie. Wiele więc w tym względzie zawdzięczam Babci. Mama, a szczególnie Ojciec mniej uwagi przywiązywali do kindersztuby. (…)



Brasław, dom Żurawskich, fot. Michal Żurawski, 2015 r.

PIANINO

Z pianinem emocji było wiele, bo instrumentów tych w Brasławiu było mało i posiadanie pianina świadczyło o statusie społecznym nabywcy. Z Inki koleżanek tylko jedna, Baśka Warzecha posiadała w domu pianino i w domu uczyła się grać. Teraz do tej „elity" miała dołączyć rodzina Żurawskich z Inką na czele. Ojciec pojechał w tym celu do Wilna. Nie będąc muzykiem wybrał w firmie H. Abelow (ul. Nienużecka 22) pianino marki F.G. Irmler. Zapłacił za nie w dwóch ratach 1050 zł. Był to już rok 1937. Po kilku dniach pianino przyjechało pociągiem na stację w Brasławiu. Dobrze pamiętam stan podniecenia całej rodziny w oczekiwaniu na instrument. Pamiętam też, że na stację pojechałem razem z Ojcem i byłem świadkiem załadunku na furmankę wielkiej skrzyni, którą z obydwu stron podtrzymywali

wynajęci robotnicy. Zdjęcie skrzyni z wozu i wtaszczenie jej do saloniku nie odbyło się też bez nerwów: żeby broń boże nie wysunęła się z rąk dźwigających. Pianino pozostawiono w skrzyni do dnia następnego, gdyż tak zalecił sprzedawca; chodziło o aklimatyzację instrumentu do nowych warunków.

Wieść o zakupie przez Żurawskich pianina rozeszła się wnet po miasteczku. Pierwszym zaciekawionym, który przyszedł, był miejscowy organista, który niedaleko nas mieszkał, przy „błotku". Przy nim pianino wypakowywano ze skrzyni i on pierwszy zaczął na nim grać. Okazało się, że Ojciec nabył doskonały instrument, który chwalili później również zawodowi artyści pianiści. Architekturę posiadało eklektyczną: po bokach po jednej kanelowanej kolumience z kapitelem, z przodu trzy ramki, z których środkowa podłużna, a boczne kwadratowe. W nich dekoracje groteskowe: wici roślinne i ptaszki wykonane reliefem wklęsłym. Poza tym mnóstwo gzymsów, na wnętrzu klapy złocony napis „f.g. Irmler", a u dołu mniejszą kursywą: „Leipzig". Inka zaczęła pobierać naukę gry w domu. Najpierw przychodził wspomniany organista, a później panna Niuta Kantor.

SZKOŁA

W 1936 roku, w wieku sześciu lat skończonych w lipcu posłano mnie do szkoły powszechnej. Właśnie wybudowano nowy budynek szkoły i w tymże roku oddano go do użytku. Do szkoły

miałem bardzo blisko, najwyżej 10 minut wolnym krokiem. Wybudowano ją pomiędzy starostwem, a cmentarzami i wspomnianym już po wielokroć „Błotkiem”. Był to duży budynek, wzniesiony z drewna, nieotynkowany, w kształcie klasycystycznego dworu, czy pałacu. Od frontu posiadał portyk kolumnowy (kolumny też z drewna) w wielkim porządku osłaniający dużą facjatę, w której mieściło się mieszkanie kierownika, pana Mickiewicza z rodziną.

Pamiętam dzień, gdy mnie Mama przyprowadziła do szkoły, strach jaki mnie wówczas ogarnął i pamiętam, że mój kolega Ignaś Rudomino ryczał w niebogłosy, gdy go matka zostawiła w szkole. Być może to spowodowało, ze strach opanowałem i nie rozpłakałem się. Kojąco na nas musiała wpłynąć pani Halina Heppelowa, wychowawczyni pierwszej klasy, znakomita pedagog, za którą dzieciaki przepadały i ją kochały. Niestety, po wkroczeniu bolszewików, jako żonę policjanta, wywieziono ją na Sybir pierwszym transportem.

Chyba przedwczesne było posyłanie mnie w wieku sześciu lat do szkoły. Otaczali mnie chłopcy co najmniej o rok starsi, a że w klasie musi się znaleźć zawsze ofiara do bicia – taka rola na razie mnie przypadła. Byłem dzieckiem wrażliwym, z inteligenckiego domu, przemoc była dla mnie zjawiskiem nowym i obcym. A koleżków miewałem spod ciemnej gwiazdy. Jakoś złożyło się tak, że zaprzyjaźniłem się z Bronkiem Kołkowskim. Zresztą sąsiadem

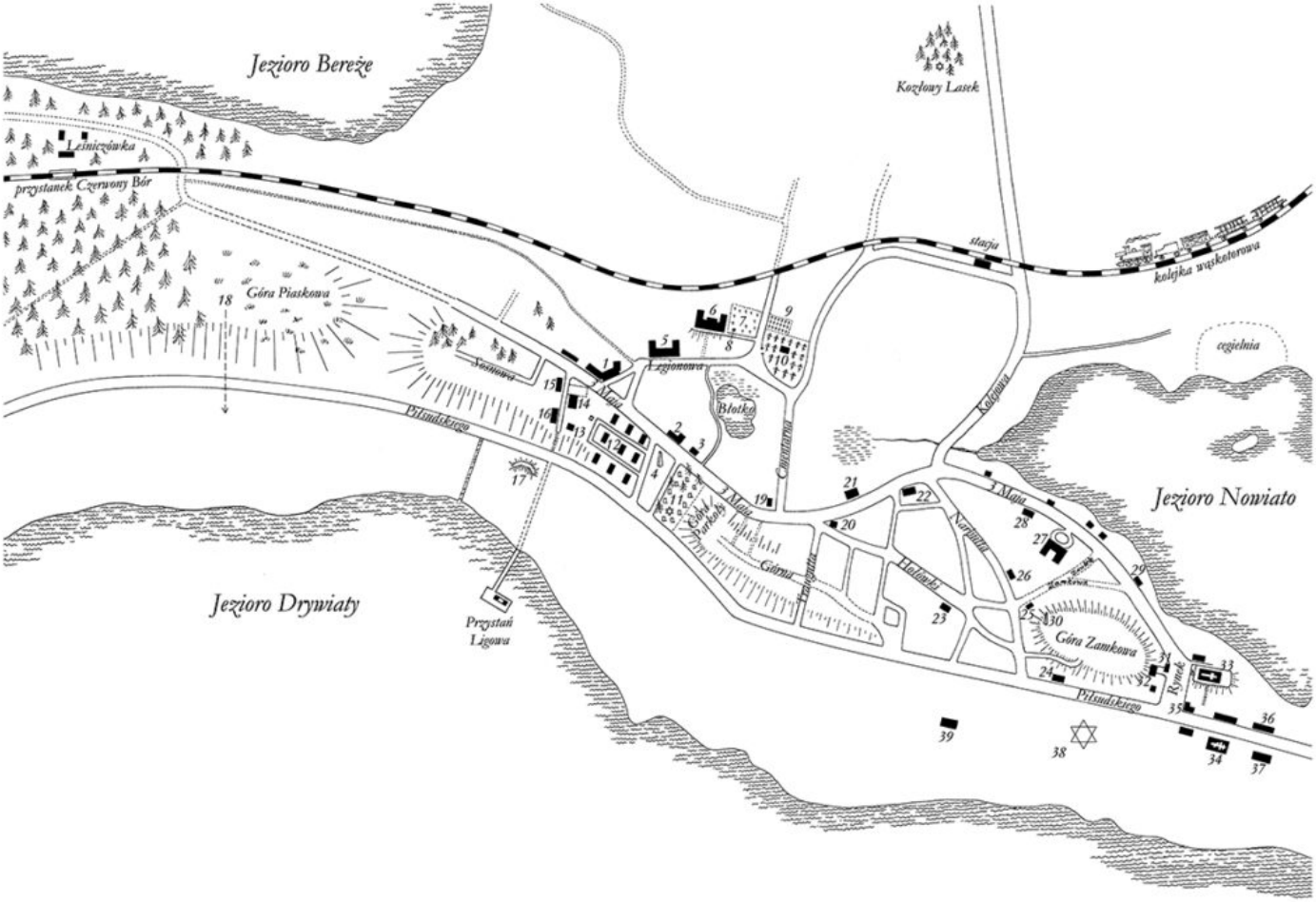
z ul. Cmentarnej, starszym ode mnie o dwa lata, osiłkiem i chuliganem co się zowie. Natychmiast nabrano do mnie respektu, a raczej respektu do Bronka, który w mojej obronie podbił paru równym sobie nosy.

Co do moich osiągnięć w nauce niczego nie mogę powiedzieć, poza tym, że przynosiłem świadectwa z ogólnym b. dobrym, oczywiście niezasłużonym, Do klasy trzeciej, ukończonej w 1939 roku nie potrafiłem dobrze czytać, ani pisać. A do książek miałem ugruntowany wstręt.

Inka natomiast uczyła się doskonale, a książki czytała namiętnie, chowając się przede mną gdzieś w krzakach ogrodu lub na drzewach (a jakże, i Ciocia Inka łaziła kiedyś po drzewach). Miała liczne koleżanki, z którymi starała się odczepić od utrapionego młodszego braciszka, przeszkadzającego w ich dziewczęcych zabawach. Bywało jednak, ale to już chyba w czasie wojny, że wspólnie graliśmy w dwa ognie na ul. Cmentarnej przed naszym domem do upadłego (ulica nie była jeszcze wybrukowana, wybrukowali ją dopiero Niemcy). Mieliśmy piłkę skórzaną do siatkówki (rzadkość wśród okolicznych koleżanek i kolegów), toteż urządziliśmy boisko do siatkówki po północnej stronie domu. Graliśmy godzinami.

*

SPIS OBIEKTÓW NA PLANIE BRASŁAWIA WYKONANYM PRZEZ WRZESŁAWA ŻURAWSKIEGO W 1995 ROKU WEDŁUG WSPOMNIEŃ OJCA JERZEGO ŻURAWSKIEGO I INNYCH BRASŁAWIAN



Plan dokumentuje miasto około roku 1939

1. Starostwo Powiatowe
2. Sejmik Powiatowy
3. Bank
4. Pomnik Józefa Piłsudskiego
5. Szkoła Powszechna
6. Gimnazjum

7. Cmentarz rzymskokatolicki
8. Grób Wincentego Uniatyckiego i Antoniego Żurawskiego
9. Cmentarz żołnierzy polskich z pierwszej wojny światowej
10. Cmentarz prawosławny
11. Cmentarz żydowski
12. Kolonia Urzędnicza
13. Willa starosty
14. Dom Sportowy
15. Policja, za Niemców żandarmeria
16. W czasie wojny N.K.W.D. i areszt
17. Strzelnica sportowa
18. Miejsce startu szybowców
19. Dom Żurawskich
20. Dom Magata
21. Dom Romanisa
22. Hotel Bałdów
23. Poczta
24. Urząd Skarbowy
25. Bożnica i szkoła żydowska
26. Ośrodek Zdrowia
27. Szpital
28. PKO
29. Kasyno Urzędnicze
30. Pomnik dra Narbutta

31. Apteka sejmikowa
32. Straż pożarna
33. Kościół katolicki
34. Cerkiew prawosławna
35. Apteka Kurczewskich
36. Sklep „Społem” – Rolnik
37. Urząd Gminy
38. Synagogi, mykwy, szkoły żydowskie
39. Elektrownia

*

Zobacz też:

Film Zofii Żurawskiej o Jerzym Żurawskim, nakręcony w Brasławiu w 2015 r., pt. „Dziadek”:

*

Nagranie ze spotkania z Jerzym Żurawskim podczas Festiwalu Dwa Brzegi w Kazimierzu Dolnym, w sierpniu 2022 r.

“Dzień znów wstaje słońcem…” – czyli tajemnicza Vyska o swoim najnowszym projekcie muzycznym



*

Agnieszka Kuchnia Wołosiewicz *(Wielka Brytania)*

Vyska, pod tym właśnie pseudonimem kryje się Paulina Wysoczańska, która od dziecka brała udział w różnych festiwalach, zdobywając nagrody i wyróżnienia. Miała też przygodę z folklorem. Później, jako wokalistka *Deja Vue*, nagrała singiel pt. *Już nie słyszę Twoich słów*. Była także uczestnikiem *Metro* w Wieluniu pod okiem Pani Zofii Szpikowskiej.

Paulina uczestniczyła w wielu projektach muzycznych m.in. *Positiv Virus* razem z Robertem Madziarzem – Jej obecnym producentem, człowiekiem z ogromnym talentem i pasją. Ich muzyczne drogi przeplatały się już od wielu, wielu lat. Wspólne nagrania, gościnne koncerty, program *Mam Talent*. Życie niestety nie zawsze układa się tak, jak sobie zaplanujemy i tak, jakbyśmy tego chcieli. Oboje mówią, że dziś przyszedł jednak czas na spełnienie marzeń, czego efektem są wydane już dwa single, zapowiadające debitancką płytę Artystki, nad którą Vyska pracuje wraz z Robertem w *Sound Travel Studio*.

*

Agnieszka Kuchnia-Wołosiewicz:

Kiedy w Twoim życiu pojawiła się muzyka?

Paulina Wysoczańska:

Myślę, że towarzyszy mi odkąd pamiętam. Kiedy byłam małą dziewczynką, wygrywałam konkursy w przedszkolu i szkole. Otrzymując też tytuł wieluńskiej małej miss lata ‘96 i miss Ziemi Sieradzkiej ’97, stałam się rozpoznawalna lokalnie, co oczywiście jest ważne, kiedy chce się docierać do szerszej publiczności ze swoją muzyką (uśmiech!). Jako nastolatka występowałam też z folklorystyczną kapelą ludową pod okiem śp. Marka Dery,

który przez wiele lat był moim muzcznym opiekunem.

Później byłam wokalistką zespołu *Deja Vue* z Wielunia i w weekendy śpiewałam na imprezach okolicznościowych. W ostatnich latach brałam (wraz z Robertem Madziarzem) udział w projekcie *PositiveVirus*, a także próbowałam swoich sił w programach: *Mam talent* i *Szansa na sukces*. Uczęszczałam także przez jakiś czas do Studia Piosenki Metro w Wieluniu, gdzie kształciłam się pod okiem pani Zofii Szpikowskiej.

Życie jednak nie zawsze pisze takie scenariusze, jakie byśmy chcieli i moja droga muzyczna była bardzo wyboista, ale w końcu nadszedł czas by spełniać swoje marzenia i tak właśnie powstała Vyska – długo wyczekiwany, wymarzony przeze mnie projekt. Czy się spodoba? Mam taką nadzieję.(uśmiech!).

Jesteś wokalistką, ale grasz także na gitarze.

Głównym moim instrumentem jest oczywiście aparat głosowy (śmiech!). Gram amatorsko na gitarze – w dużej mierze jestem samoukiem, choć za młodych lat uczęszczałam do szkoły muzycznej, gdzie głównym intrumentem była właśnie gitara, jednak gra klasyczna to nie mój klimat. Chciałabym zacząć grać na pianinie – jest to moje marzenie, ale nie wiem czy ilość codziennych obowiązków pozwoli mi na jego realizację. No i jeszcze podobno świetnie gram na nerwach, ale to już

nie mnie oceniać! (śmiech!)

Jaki gatunek muzyczny uprawiasz?

Jest to szeroko pojęty pop z elementami R&B, House, Trance-electro. Nie chciałabym się jednak ograniczać, musi coś po prostu zaiskrzyć. Płyta, nad którą pracujemy, będzie „kolorowa” (uśmiech!).



Paulina Wysoczańska, fot. Michał Dudek



Paulina Wysoczańska, fot. Michał Dudek

*

Jakie znaczenie mają dla Ciebie teksty piosenek, które wykonujesz?

Ogromne! Muszą odzwierciedlać moje uczucia, których doświadczam lub doświadczyłam, a także moją naturę – spójne ze mną, ale także uniwersalne, czyli dotykać życia innych

osób. Chciałabym jednocześnie zaznaczyć, że nie jest tak, iż z piosenek można wyczytać mój życiorys. Tego się nie doszukujcie (śmiech!). Aż tak otwarta nie jestem, żebyśmy się dobrze zrozumiały (śmiech!).

Współpracujesz obecnie z Robertem Madziarzem nad swoją debiutancką płytą. Jak nawiązała się Wasza współpraca?

Nasze drogi z Robertem przeplatają się od wielu, wielu lat. Jest on autorem i kompozytorem piosenki, którą nagrałam w roku 2006, będąc wokalistką *Deja Vue*. Wtedy go poznałam. Piosenka nosiła tytuł „Już nie słyszę Twoich słów". Cudowne wspomnienie.

Niestety drogi *Deja Vue* i Roberta rozeszły się, ale my spotkaliśmy się ponownie po latach, kiedy poprosiłam go o nagranie coveru. Wtedy też padł pomysł, żeby coś stworzyć. I tu znowu życie napisało inny scenariusz. Takich rozstań i powrotów było kilka, widocznie to nie był ten czas. W końcu te kręte drogi złączyły się i mam nadzieję, że tak już zostanie… I dziś nie chcę zastanawiać się, co będzie kiedyś. Dla mnie ważne jest "tu i teraz". Ktoś mi kiedyś powiedział: „Paula, w historii już nic nie zmienisz, jutra nie znasz, możesz nie doczekać, dlatego ciesz się każdym dniem, jakby miał być Twoim ostatnim – spełniaj marzenia". Dziś właśnie to robię Robertowi dziękuję, gdyż to dzięki niemu mam taką możliwość.

On jest nieoderwalną częścią tego projektu. Cudowny człowiek, niesamowicie uzdolniony gitarzysta, kompozytor, producent i przyjaciel – po prostu Magik. My pracujemy, a wszechświat niech nam sprzyja, skoro połączył nasze muzyczne drogi(uśmiech!).

Twój debiutancki singiel odnosi sukcesy na listach przebojów. Z pewnością cieszy Cię taki odbiór?

Oczywiście. Miło jest, kiedy ktoś docenia to, co robisz, tym bardziej, że wkładam całe serce, całą siebie w ten projekt. Cieszy mnie, że piosenka się podoba. Mam nadzieję, iż kolejne utwory również przypadną do gustu.

Niedawno nakręciłaś teledysk do kolejnego utworu. Za Tobą premiera. Tak się składa, że jestem autorką tekstu i w tym miejscu Tobie i Robertowi bardzo dziękuję za zaproszenie do Waszego projektu.

Tak, rzeczywiście pod koniec września nakręciliśmy teledysk do piosenki „Odejdę z wiatrem", do której napisałaś słowa. Bardzo za nie dziękuję. Piosenka jest trafiona w stu procentach (uśmiech!). To mój pierwszy teledysk, więc nie ukrywam, że się stresuję, tym bardziej, iż jakoś nigdy nie lubiłam siebie w obiektywie. Zawsze musi być ten pierwszy raz (śmiech!). Jeśli chodzi o premierę, to odbyła się 06.10.2022, serdecznie

zapraszam Państwa do obejrzenia i posłuchania. Mam nadzieję, że się spodoba.

Plany koncertowe?

Oczywiście są, jednak projekt zaczęliśmy realizować tak naprawdę już po sezonie koncertowym (plenerowym) i jednocześnie jesteśmy w trakcie przygotowań materiału na płytę, więc wszystko przed nami.

Grywamy rownież akustycznie, łącząc nasze piosenki z coverami, dzięki czemu możemy już teraz promować materiał z nadchodzącej płyty i oczywiście obserwować, jak publiczność reaguje na nasz autorski materiał prezentownay tylko z gitarą. Niewątpliwie tego typu granie ma swój urok, gdyż wychodzi wtedy na wierzch cała prawda o piosence. Daje nam to możliwość grania różnych koncertów w pubach, klubach i innych ciekawych miejscach, gdzie tego typu skład idealnie się sprawdza. Warto dodać, że na płycie aranże są bogate w instrumenty, zatem tych akustycznych wersji live można posłuchac własnie tylko na naszych recitalach, a mamy ich trochę do zagrania w najbliższym czasie, co też świetnie połączyło się z premierą nowego singla pt. „Odejdę z wiatrem”.

Tuż po premierze singla, będzie nas można zobaczyć i usłyszeć na żywo podczas dwóch koncertów akustycznych.



Paulina Wysoczańska i Robert Madziarz, fot. Michał Dudek

A Twoje muzyczne marzenia?

Moim największym marzeniem jest robić to, co kocham, czyli śpiewać. Jeśli odbiorcom moja muzyka przyniesie radość, będzie pięknie. Chciałabym wrócić na scenę, ale też nagrywać. Pragnę, by coś po mnie zostało i jednocześnie chcę dzielić się swoją pasją. Śpiewając, jestem szczęśliwa i daję szczęście (czy też wzruszenie) innym. To jestem cała ja (uśmiech!).

Gdzie można “poobserwować” Ciebie i Twoje działania artystyczne?

Wszystkie informacje można śledzić na moim funpage na facebooku – Vyska, ale też oczywiście posłuchać i obejrzeć na YouTube. Serdecznie zapraszam!

Ściskam mocno i do usłyszenia! (uśmiech!).

Dziękuję Ci za rozmowę!

Agnieszka Kuchnia-Wołosiewicz

https://kuchniawolosiewicz.blogspot.com/

*

Zobacz też:

> Radiowiec z Dublina. Tomasz Wybranowski.

> „Piosenki na koniec tygodnia” – projekt muzyczny Remiego Juśkiewicza z Londynu